Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Nad jeziorem o zachodzie. Fot. W. Puchalski.

ORGAN

POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 19 (795) 1 LIPCA 1935 R.



Na rogacza. Bogdanówka, pow. Pińsk.

O PRZYSZŁOŚĆ ŁOWIECTWA.

W związku z artykułem p. M. Pawlikowskiego z Nr. 14 „Łowca P.", jako przedstawiciel piętnowanej przez Sz. Autora młodzieży polującej, chcę zabrać głos w sprawie „bierności" młodego pokolenia w dziedzinie kulturalnego łowiectwa.

Dziwi mnie mocno jeden fakt. W kraju mamy dość silny zespół kulturalnych myśliwych, którzy rzeczywiście rekrutują się, jak pisze Sz. Autor „Bolączek, o których pamiętać należy", ze „starszej, względnie dojrzałej generacji". I pomimo, że istnieje wśród tego ogółu myśliwych przekonanie, iż nie są wieczni, że prędzej, czy później będą musieli ustąpić ze strażnic, użyźniających łowieckie niwy, że — jeśli chcą, by ich dzieło nie upadło — muszą mieć komu przekazać nabyte skarby, — trudząc się w pocie czoła, sami „kontynuują ciężką, ofiarną i niewdzięczną pracę", a nie czynią wyraźnego kroku, by nawiązać kontakt z młodzieżą.

Czekają, odwlekają, albo — poza narzekaniem — niczego z siebie nie chcą wypromieniować, by zbliżyć się do młodej generacji. To jest naprawdę zastanawiające! O ile zabierze kto głos w tej żywotnej sprawie czy to na łamach łowieckich czasopism, czy na zebraniach stowarzyszonych myśliwych (co bardzo rzadko się zdarza!), — to są to raczej głosy potępienia młodzieży, zgóry przesądzające kwestję, albo stawiające młodym całe stosy wymagań, bez koniecznego w takich razach oparcia się na realnych podstawach.

Dowodem tego może być chociażby płomienne odwołanie się pewnego myśliwego do młodzieży szkolnej, by fundowała na własną rękę bibljoteki i gromadziła zbiory myśliwskie (autentyczne!) *. Nie będę tej sprawy tutaj roztrząsać, tembardziej, że już wypowiedziałem się w niej swojego czasu w „Trąbkach" wileńskich. Ale — wystarczy przecież zastanowić się chwilę, by dojść do przekonania, że możliwość fundacji bibljotek, czy zbiorów myśliwskich, jest całkowicie zależna od warunków życiowych, w jakich obecna młodzież się znajduje. Oto jeden przykład, odstrzelony od dzisiejszych stosunków, zachodzących między starszą generacją łowiecką, a młodzieżą. A czyż ich niema więcej?

Dlaczego tak jest, dlaczego doszło do takiego dziwacznego stanu rzeczy? Zwala się winę na „bierność" młodzieży — najdogodniejsza droga do umycia rąk od wymagających odrobiny energji poczynań. Ale czy nie jest powodem tego rozdźwięku właśnie bierność ogółu starszych myśliwych? Nie chodzi tu zresztą o obwinienie lub przyznanie zasług tej, czy innej stronie, — ale o stwierdzenie rzeczywistości, gdyż jest to konieczne do przedsięwzięcia dalszych kroków.

Młodzież (zacznijmy od gimnazjalnej, bo im wcześniej zasieje się ziarno, tem większe można rokować nadzieje na przyszłość), nie ma przecież jeszcze wyrobionych całkowicie poglądów na te, czy inne sprawy, a więc niewątpliwie i na łowiectwo; fermentuje, tworzy w tym czasie ludzką osobowość i jest w swym rozwoju bardzo zależna od różnych czynników natury zewnętrznej, więc trudno jest jej o natychmiastowe skonsolidowanie się i pójście po prostej linji, wytyczonej przez określone cele. Czyjaż tu więc zaczyna się rola? W tym wypadku starsi myśliwi winni są koniecznie podać młodym rękę, zachęcić ich, wesprzeć, inaczej — wiele można zmarnować.

* Artykuł o tem traktujący drukowano w „Trąbkach" wileńskich kilka lat temu. *(Przyp. aut.)*.

Że na poczesnych miejscach pracy łowieckiej stoją starsi myśliwi, że oni nadają kierunek łowiectwu polskiemu, redagują pisma i są autorami fachowych artykułów — to, wydaje mi się, jest rzeczą całkiem naturalną. Tak być powinno! Nie można przecież wymagać, by zastąpił ich w tem wszystkiem nieprzygotowany uczeń gimnazjalny, czy chociażby student... — tembardziej, że tak jeden, jak i drugi nie miał dotychczas żadnego szkolenia w tym kierunku, żadnej pomocy, ani inicjatywy ze strony przedstawicieli łowiectwa. Na dowód przytoczę najprostszy przykład. Pomijając już młodocianego ucznia — czy student, który nie miał nigdy styczności z hodowlą zwierząt łownych, albo tresurą psa myśliwskiego, czy z gospodarką leśną, może pisać mające jakąkolwiek wartość fachowe artykuły, o tych sprawach traktujące? Albo (przypuśćmy), nie studjując specjalnie prawodawstwa — rozwiązywać problemy z dziedziny prawa łowieckiego?



Dobry szóstak. Fot. S. Mravincsics.

Są to rzeczy, do których dochodzi się przez długotrwałe studja, przez głębszą lekturę, a przedewszystkiem przez doświadczenie, przez zetknięcie się z temi rzeczami w życiu, po latach, a więc wraz z wiekiem.

Ale to nie przesądza wcale sprawy, nie zmusza do biernego czekania na owoc, jaki przyniesie „dojrzałość", lub wiek „starszy". I właśnie w związku z tem przechodzę teraz do najważniejszego — według mnie — punktu całej tej kwestji, mianowicie: do sprawy zbliżenia się do młodzieży.

Łowiectwu naszemu chodzi o pomyślny rozwój, o trwałość, poprostu — o mocną przyszłość. Trzeba więc wyszkolić w duchu jego idei szeregi posiadającej łowieckie zamiłowanie młodzieży. Jak to urzeczywistnić? Sporo przedstawicieli młodej generacji łowieckiej spotyka się w gimnazjach i na uniwersytetach o nadto swobodnem pojmowaniu łowiectwa i rozumiejących je jedynie jako strzeleckie myślistwo. Tacy „myśliwi", jak zauważyłem, — jeśli chodzi o młodzież gimnazjalną — bardzo często grupują się w takich organizacjach, jak „kółka przyrodnicze" czy „miłośników przyrody", — zawiązywanych na terenie szkoły przez nauczycieli, albo samorzutnie tworzą złożony z kilku członków „związek łowiecki" lub t. p. Oczywiście są także i „myśliwi" samotni, polujący przy okazji samopas. W pierwszym wypadku nauczyciel przyrody, bardzo często ignorant w sprawach łowiectwa (tak!), nastawia młodzież nieodpowiednio do tych zagadnień, oświetlając łowiectwo od strony „przelewu krwi, morderstwa, braku ukochania natury" i t. p. A w zakresie tym dałoby się wiele dobrego łowiectwu przysporzyć. Wydaje mi się, że bardzo racjonalne byłoby porozumienie się z władzami szkolnemi i uporządkowanie tych niezdrowych stosunków bądź przez uczestniczenie delegatów łowieckich w zebraniach kółek, bądź przez stworzenie jakiejś na szerszą skalę zakrojonej łowieckiej organizacji młodzieży, np. jednej na całe miasto — czy też jeszcze w inny sposób.

Nawiązując do dwóch różnych przejawów „łowiectwa" na terenie szkoły — jest rzeczą wyraźną, że pojmowanie idei łowieckich tutaj zależy już jedynie od dobrej woli członków danego kółka, lub poszczególnego „myśliwego"; przytem często się zdarza, że na tle ogólnej pracy łowieckiej tacy młodzieńcy grają rolę kształcących się kłusowników.

Jeżeli wglądnąć w te poszczególne bolączki, naprawdę ogarnia człowieka strach o losy łowiectwa. A uzdrowić ten stan rzeczy nie jest znów tak trudno. Trzeba tylko dobrych chęci i trochę wysiłku. Można wiele zyskać np. przez intensywną propagandę łowiectwa, przez wystawy zdjęć myśliwskich, obrazów, przez bezpłatne otwarcie specjalnie dla młodzieży muzeów ze zbiorami, a przedewszystkiem — przez organizowanie konkursów na najlepsze wypracowania uczniowskie z dziedziny życia zwierząt i ptaków. Trzeba to robić ciągle i uparcie! A przepotężna dziedzina filmu, oparta o piękno polskich lasów i łąk — dlaczegóż dotąd jest w pogardzie? — Niech to wszystko będzie z początku obliczone na efekt, na „zewnętrzne" zainteresowanie „biernego" ogółu młodzieży zagadnieniami przyrody i kwestjami łowiectwa — nic to. Z czasem dobrze, zbożną ręką rzucone ziarno napewno przyniesie plon.

Na kilka jeszcze bardzo ważnych szczegółów chcę zwrócić uwagę wszystkich z pod znaku św. Huberta. — Wielu z naszych „starszych" myśliwych posiada piękne tereny łowieckie z lasami i wodami, z bogatym światem zwierząt i ptaków — gdzie często spędza czas na boskich wywczasach, w pełni wrażeń myśliwskich... Nic więc dziwnego, pomijając już wartości społeczne i kulturalne łowiectwa, oraz zadowolenie, że się pracuje dla idei — że łowiectwo pociąga ich przez swój urok i piękno. A jeśliby tak wypadło im kiedyś wycofać się z tego świata wrażeń i swobodne życie myśliwego zredukować do nędznej, ciągłej, pozbawionej przestrzeni wegetacji w mieście — czy nie straciłaby na wartości i ich ideowość, czy nie zbankrutowałoby w ich oczach łowiectwo wraz ze wszystkiemi swojemi walorami? Kto wie — przecież są tylko ludźmi.

A teraz rozpatrzmy, jak się przedstawia ta sprawa u młodzieży. Młodzież, jako taka, więcej potrzebuje wrażeń, więcej „blasków", działających na wyobraźnię, aniżeli ludzie starsi, bo jeszcze nie może traktować rzeczy na zimno, trzeźwo. Więc i w tym wypadku w zakresie pojmowania łowiectwa olbrzymią rolę gra polowanie i styczność ze światem przyrody, które to warunki nietylko są zewnętrzną formą łowiectwa, ale z nich też łowiectwo wypływa. Bo jakże inaczej budzi się „żyłka myśliwska" u młodzieży, jeśli nie w pojęciu polowania na tle prastarych, pełnych tajemniczych uroczystości, dzikich puszcz? Trzeba zrozumieć psychikę młodzieży, cofnąć się w swoje młode lata i wyłowić stamtąd wszystkie różnorakie struny, z których powstało dzisiejsze łowiectwo każdego ze starszych myśliwych. Napewno znajdą się analogje... Trzeba więc teraz umiejętnie zagrać na tych młodocianych „łowieckich żyłkach" dzisiejszej młodzieży!

Bardzo wielu z młodych myśliwych, lwia ich część, nie posiada żadnych terenów myśliwskich i znajduje się częstokroć w takich warunkach, że o polowaniu może chyba tylko śnić... Stawia się młodzieży zarzu-

ty, że poluje bez kart łowieckich — owszem, to się zdarza, ale, gdy już stać młodego myśliwego na kartę, czy może on o własnych siłach zakupić wstęp na polowanie np. w lasach państwowych i opłacić koszty, z taką wycieczką związane? Ma więc do wyboru: karta, czy polowanie — i (oczywiście wina „żyłki myśliwskiej"!), wybiera przy pierwszej lepszej okazji... polowanie bez karty.

Ta niemożność wyjazdu na wieś powoduje więcej zła, niż się wydaje. Wśród młodzieży myśliwskiej, osiadłej w miastach — jak zauważyłem — spotyka się spory procent talentów artystycznych: malarskich i literackich. Ale brak kontaktu z przyrodą, a często całkowita nieznajomość jej wartości, a więc — odsunięcie od najwyższych i najpotężniejszych wzorów powstrzymuje rozwój duchowy tej młodzieży i poprostu — zabija jej talenty. Bo to jest — podkreślam — wielce charakterystyczne, że pierwiastki artystyczne, powstałe w duszy myśliwskiej, dla swojego rozrostu potrzebują koniecznie obcowania z przyrodą, inaczej — giną.

Jest zdanie, że lektura w tym względzie ma wiele do zdziałania, ale — mówiąc otwarcie — bardzo mało mamy odpowiednich (szczególnie dla młodzieży) książek na tematy łowieckie, które mogą naprawdę wychować młodych myśliwych na prawdziwych „łowców". I tutaj więc otwarte pole do działania! Możnaby przecież było skonstruować jakiś odpowiedni, solidnie ujęty, oparty na umiłowaniu ziemi i istot, podręcznik łowiectwa dla młodzieży, któryby z istotnej strony oświetlał nasze tendencje.

Nawiązując do poprzedniego — nie wchodzę w szczegóły, co da młodzieży kontakt z przyrodą — jest przecież rzeczą jasną, że przez umożliwienie takim „mieszczuchom" pobytu na łonie natury tchnie się w nich nowy zapas sił, pobudzi się rozwój ich wartości duchowych do świetnych sukcesów i przez to — przysporzy się chwały łowiectwu.

Trzeba tylko widzieć, jak taka niezamożna, „bezterenowa" młodzież łowiecka spędza wakacje w mieście, jak wegetuje, jak tęskni za swobodą i przestrzenią, za słońcem i zielenią lasów — by zrobić coś dla polepszenia jej nędznej myśliwskiej doli. — Dlaczegóż starsi myśliwi, posiadający łowiska, nie zaproszą do siebie czy to na miesiąc, czy choćby na tydzień, albo i na jednorazowe polowanie — tych młodych myśliwych? Przecież i oni pożądają uroku łowiectwa i jego piękna, by módz na czemś oprzeć przyszły gmach swojego łowiectwa. Nie chodzi tutaj o jakąś filantropję społeczną, czy o konkurs na najlitościwsze serce, nie! — trzeba to robić dla naszej idei, ale nie bez serdecznej szczerości, w celu podłożenia fundamentów pod przyszłość naszego łowiectwa. Mając bowiem u siebie jednego, lub kilku młodych myśliwych, można w wielu rzeczach ich uświadomić, zaznajomić z gospodarką leśną, z hodowlą zwierząt łownych i t. p., — a przez to dopomódz im w ukształtowaniu zdrowego poglądu na łowiectwo. — Mojem zdaniem — najlepszą drogą do porozumienia się w tym zakresie z młodzieżą może być pośrednictwo powiatowych delegatów łowieckich, którzy znają przecież stosunki w swoim obwodzie, — nie powinno więc im stanowić trudności wyszukanie stęsknionych za polowaniem młodocianych łowców. Chodzi tylko o to, by Zarząd P. Z. S. Ł. udzielił pp. delegatom odpowiednich instrukcyj.

Przy końcu chcę podkreślić, że teraz właśnie, gdy idzie już lato, okres wakacyj, otwiera się przed starszem pokoleniem myśliwskiem, posiadającem łowieckie tereny, pole do zbożnej pracy łowieckiej na nowym odcinku — pozyskania dla wspólnej sprawy młodzieży do pracy, która potrzebuje nietyle „rozważań i dyskusji", ile — jeszcze raz zaznaczam — dobrej woli i twórczej inicjatywy.

TYTUS KAZIMIERZ KARPOWICZ.



Półdzikie kaczki na stawie. Fot. W. Taczanowski.

* * *

Poruszony przez Sz. Autora temat jest bardzo ważny i niewątpliwie wypadnie przystąpić do praktycznego rozstrzygnięcia różnych kwestyj, które są tam poruszone.

W związku z ukończeniem prac w zakresie uporządkowania stosunków prawnych, dotyczących łowiectwa, aktualna staje się i jest w toku praca nad reorganizacją Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w kierunku decentralizacji i przeniesienia punktu ciężkości działalności Związku, jeśli się tak można wyrazić, „na teren". Stworzy się przytem pole do działalności, a także wyrabiania się w pracy społecznej w zakresie łowiectwa szerszych kół myśliwskich, w tej liczbie młodzieży. W ten sposób winnaby znaleźć rozwiązanie kwestja przygotowawcza przyszłych działaczy w zakresie łowiectwa, na miejsce schodzących z pola.

Podręcznik dla młodych myśliwych do zdobycia podstawowych wiadomości w zakresie łowiectwa mamy; wystarczy wymienić znakomity podręcznik ś. p. Jana Sztolcmana. Najtrudniejszą jest sprawa udostępnienia polowania i wogóle przebywania młodzieży i młodych talentów malarskich i literackich na terenie, gdyż to wymaga środków, któremi ani Związek, ani poszczególne kółka na ten cel nie dysponują. A możeby Ministerstwo Rolnictwa, z opłat od kart łowieckich, które miały iść na ogólne cele rozwoju łowiectwa, utworzyło kilka lub kilkanaście stypendjów po paręset złotych? Z resztą możebyśmy sobie jakoś dali radę. *(Przyp. red.)*

TRYPLET DO RYSI.

Przejeżdżając saneczkami przez garbaty, zwodzony most, nad kanałem Ogińskiego w m. Telechanach, przypomniałem sobie, jak 16-cie lat temu przekraczałem ten sam kanał na czele pułku kawalerji, w okresie pierwszych walk z bolszewikami o wytknięcie granic tylko co zmartwychwstałej Rzeczypospolitej.



Płk. Bystram z trofeami, zdobytemi w tryplecie.

Krajobraz nic się nie zmienił: taksamo drzemie niewielkie jezioro w płaskich brzegach, sosny kiwają ciemnemi koronami, taksamo wznoszą się ponuro mury zrujnowanego pałacu hr. Pusłowskich; ten sam kanał prostą, sztywną linją nasypanych wałów przecina miękką harmonję naturalnych załamań lasu, łąk i pól, gdzieniegdzie wystają z ziemi betonowe schrony, pozarastane trawą i krzewami — smutne resztki niegdyś groźnej pozycji z okresu wielkiej wojny; tylko znikł wieniec cierniowy z drutów kolczastych, a ze zgliszcz i rumowisk powstało nanowo miasteczko i wioska — kłopotliwie tłocząc się drewniakami i chałupkami wzdłuż kanału i jeziora...

Starodawne dzieje i wspomnienia powstają w pamięci... lecz podjeżdżamy, tuż za kanałem, do ganku schludnego domu nadleśniczego dóbr telechańskich. Saneczki stają i w mgnieniu oka dreszczyk myśliwskiej teraźniejszości zmiata bez śladu dawne fale wspomnień!

Wyskakujemy z właścicielem tych rozległych włości, hr. Wojciechem Pusłowskim. Spotyka nas pan nadleśniczy. „Cóż słychać u Pana?" „Dziękuję, wszystko pomyślnie, Panie hrabio — zwierzyna jest, tylko śnieg stary i mało — tak że tropić niełatwo". Po obiedzie w czasie długiej rozmowy, przy wesoło trzeszczącym kominku, wyjaśnia się, że w pobliskim ostępie są trzy rysie i jeszcze jeden pojedyńczy, a w sąsiednim ostępie 9 dzików, z tego jeden wielki odyniec; pozatem wałęsa się po kniei jedenaście wilków. Tylko z powodu godów weselnych niełatwo je otropić, bo się ruszają bezustanku, nawet w dzień. Pozatem w dalszych ostępach meldowano trzy rysie stałe, a dwa mniej pewne, bo przechodnie, oraz jeszcze parę grup dzików w mniejszych i większych skupieniach. Delektowaliśmy się, przetrząsając te wszystkie raporty i wiadomości, układając plany i hypotezy akcji myśliwskiej na jutro, — jak trzej znawcy - smakosze, układający menu smakowitej uczty.

Ostatecznie zapadła decyzja, że w zależności od jutrzejszych meldunków straży leśnej — ułożymy plan dnia, mając za wytyczne opolowanie najpierw ostępów bliskich, przedewszystkiem oddając preferans rysiom. Spałem lekkim i trwożnym snem, jak zwykle przed emocjonującem polowaniem.

Ranek 23.I wypadł mroźny i wietrzny, czekaliśmy do 9 m. 30 na pierwsze raporty z najbliższych rewirów, które oznajmiły: że otropiony został jeden ryś, i 9 dzików, natomiast trzy rysie, obserwowane w dniach poprzednich — wyniosły się tej nocy za granice, do sąsiednich kniej hr. Potockiego.

Postanowiliśmy niezwłocznie brać ostęp z rysiem, a potem dziki. Typowo poleskie „uroczyszcze" — mieszany drzewostan ze zwartemi grupami świerczyny, gęsto podszyty łoziną — zostało oskrzydlone przy nas fladrami, zwężającemi się na szerokość dwóch stanowisk. Na dwóch prawdopodobnych chodach zwierza stanęliśmy z Panem Wojciechem. Jemu wypadło nizinne pasmo łoziny, mnie — gęste skupienia świerczyny. Naganka ruszyła; ukryty za gęstym świerkiem — zamarłem w bezruchu. Nie minęło dziesięć minut, jak w stronie hr. Pusłowskiego huknął strzał.

Gdy nadszedłem, Pan Wojciech, jak zwykle, spotkał mnie pogodnym uśmiechem i słowami: „przykro mi, że na Pana nie wyszedł, a zdawało się, że prawdziwa waga jest przez świerczynę". „Nie mam szczęścia do rysi", odparłem, „tyle razy na nie polowałem, a żadnego nigdy nie widziałem, trudno! rzadki zwierz — trzeba być cierpliwym".

Podeszliśmy do ogromnego kota — leżał rozciągnięty w całej długości, na lewym boku, wpoprzek leśnej dróżyny. Piękny to był okaz! płowy, puszysty, ślicznie centkowany. Długość od przednich do tylnych łap 178 ctm., wysokość od łopatki 68 ctm.

Gajowy Kuprianczyk, świetny znawca kniej i tropiciel, zaczął zakopywać rysia w śnieg. Zapytałem zdziwiony, naco to robi? „A to Panie Pułkowniku sztob krapinki so szkury nie propały", odparł trochę zmieszany moim ironicznym uśmiechem. Dziki się nam nie udały — przerwały nagankę i tylko jeden młody warchlaczek przesadził drogę koło mnie, co biedaczysko opłacił życiem.

Krótki dzień styczniowy dobiegał końca. Wracaliśmy, wesoło gwarząc na tematy przeżytych tylko co wrażeń. Wysokie sosny i brzozy odcinały się wyraźnie na różowem pasmie nieba — malowniczo rozrzucone wśród młodniaku i pasemek łąk. „A ot nasze poleskie gruszki na brzozach! widzi Pan?", powiedział Pan Wojciech. Patrzę i rzeczywiście drzewa były zupełnie obwieszone „tietierukami". W różnych pozycjach siedziały i, zdawało się, przyglądały znikającym odblaskom dnia. „A co, może dosięgnę tego pojedyńczego na sośnie?", powiedziałem. „Ej, szkoda, Panie Pułkowniku, tylko Pan zrani ptaka — zadaleko, ten najbliższy napewno sto kroków... a zresztą niech Pan próbuje". Podrzuciłem broń do oka. Siedział na suchej gałęzi sosnowej z wysoko wyciągniętą szyją — trzask strzału i ptak, jak podcięty, bezwładnie, obijając się o gałęzie, runął w śnieg. „Brawo! Kuprianczyk, policz kroki", krzyknął Pan Wojciech. Gajowy zeskoczył z saneczek, zerkając na mnie uśmiechniętem okiem — kroków do sosny było 88. Byłem zadowolony z mojej „Forge-

ron'ki". Spisywała się zawsze znakomicie. Nie byłem zazdrosny, lecz trochę smutny z powodu rysia — myślałem sobie: że, jeżeli jeden ryś padł, to, choć mamy jeszcze dwa dni łowów — mało prawdopodobieństwa, abym doszedł do strzału.

W drugim dniu czekaliśmy długo na meldunki, wiatr dął silny przy ostrym mrozie. Pierwsze wiadomości koło godz. 10-ej były niepomyślne: trzy rysie, które wczoraj wyniosły się do sąsiada, nie powróciły, dziki także. O godz. 10 m. 30 z nad jeziora Wyganoszcze przyszła wiadomość, że otropiono 8 dzików. Wilki prawie wszędzie były, lecz wałęsały się ciągle, tak że nie sposób było je otropić. Jeszcze parę meldunków wpłynęło o dzikach. Wobec tego, że dochodziła godz. 11-ta, postanowiono siadać do saneczek. Debatowaliśmy nad dogodniejszą kolejnością zajęcia ostępów, gdy żwawo zajechały saneczki, z których zeskoczył w pośpiechu gajowy z centralnych rejonów puszczy, z meldunkiem od leśniczego — wyczytaliśmy, że otropione zostały trzy rysie, a w drugim ostępie 2 dziki. Za parę minut saneczki niosły nas ku rewirom leśniczego. „No, Panie Pułkowniku, ma Pan okazję przełamania swego pecha z rysiami, może Pan nareszcie zobaczy rysia na strzał w puszczy, a co Pan zrobi jeżeli trzy sztuki na raz na Pana wyjdą?" „Postaram się, Panie Wojciechu, zrobić dubleta, no a trzeci pewnie zostanie na rozplon", odpowiedziałem ze śmiechem.

Jechaliśmy brzegiem łąk, które zawiłą wstęgą kręciły się po lesie. Łoza, trzcina, brzoza, sosenki, skupiny świerków, na ostrowkach tu i owdzie duże rosochate dęby — to wszystko, jak w kinie, mijało przed oczami — ciągle inne, a jednocześnie tak łudzące, bliźniaczo podobne widoki. Ostry zakręt z zamarzniętego „bałota" na szeroką „letnią" drogę — parę podskoków na wybojach i stoimy przed leśniczówką. Późno — zatrzymujemy się tylko chwilę. Parę nowych sanek, z leśniczym i gajowymi, przyłącza się do nas. Jeszcze kilka kilometrów do otropionych rysi, sanki wesoło podskakują na kępach. Kuprianczyk i miejscowy gajowy, który tropił rysie, siedzą boczkiem na snopie czerwonych flader, rzuconych w sanki... widać prowadzą ożywioną naradę fachową. Dojeżdżamy do ostrowka, gdzie pod dwoma rozłożystemi dębami stoi grupka ludzi — to czeka naganka. Sanie stają, żywo wyskakujemy — jeszcze parę słów porozumienia. Kilku gajowych z naganką znika za zakrętem ostrowka. My idziemy z resztą gajowych, nadleśnym i leśniczym.

Jeszcze ze 400 mtr. do celu wyprawy. Kuprianczyk i miejscowy gajowy prowadzą. Stajemy na chwilę: Pan Wojciech z napotkanej ciemnej świerczyny bezszumnie piłką ścina gałęzie, ja idę za jego przykładem, operując nożem myśliwskim. Ruszamy dalej, zabierając gałęzie. Idąc łąką zbliżamy się do wyspy leśnej, która dwoma przesmykami łączy się z sąsiednim masywem gęsto podszytego drzewostanu.

Ciche syczenie Kuprianczyka — pokazuje gajowemu niosącemu fladry na suchy pniak brzozy. W mgnieniu oka sznur przywiązany, my posuwamy się cicho dalej; a w prawo oddala się dwóch gajowych — pozostawiając za sobą równą, szkarłatną linię flader, żwawo wibrujących na mroźnym wietrze. Jeszcze trzydzieści kroków i stajemy na pierwszym przesmyku. „Tu Panie Pułkowniku", szepcze Kuprianczyk, tajemniczo pomrugując i wskazując na olchę, stojącą wśród kępy łoziny. Kiwam głową i stawiam przy pniu sztucer i dubeltówkę. Pan Wojciech przechodzi z uśmiechem dalej, rzucając mi szeptem „darz bór" — ciągną obaj dalej przez polanę i znikają w drzewach następnego przesmyka — tam ma stanąć hr. Pusłowski. Dzieli nas łączka 180—200 kroków szerokości.

Pozostałem sam, rozglądam się pilnie: przedemną gęsta kępa świerczyny: w prawo do flader strzał lepszy — olchy, świerki, podszyte łozą; najlepiej w lewo ku polanie — sama łoza, zwierz będzie widoczny wśród niej już na 40 kroków. Gdyby tylko chciał tym lewym brzegiem iść, byłoby to najszczęśliwsze dla mnie, — rozważałem sobie. Wyciągnąłem dość gruby sznur z kieszeni, przymocowałem go do olchy, dalej do jednej, drugiej grubszej łozy i zakończyłem półkole na brzezince. Przyniesione gałęzie świerka pozawieszałem przed sobą, sprawdziłem, poprawiłem starannie — maska była gotowa. Bezdźwięcznie nabiłem broń. Trzeci nabój na wszelki wypadek umieściłem w prawej kieszeni kożuszka na zdjętej rękawiczce tak aby łatwy był do wyjęcia. Ustawiłem się mocno i dość szeroko na nogach, wyrównując śnieg stopami, rozprostowałem ramiona i zamarłem w bezruchu.

Wiatr dął porywiście naukos z prawa, w twarz. Rozglądałem się ponownie, uważnie zanotowując sobie rozmaite luczki i przesmyczki śród gałęzi i konarów. Najbardziej niepokoił mnie środek i częściowo prawa strona mego przedpola: jeżeli zwierz wybierze tę drogę, to tylko mignie mi w paru luczkach na chwilkę, a potem amen — zniknie bezpowrotnie.

Drgnąłem! to pierwszy daleki odgłos naganki... z prawa, z lewa, teraz po całej linji. Nagle dmuchnął wiatr tak porywiście, że zerwał mi od prawej strony i częściowo od środka większość gałęzi ze sznura... „Psia krew!", klnąłem w duchu, „to mam pecha i ani się ruszyć, aby naprawić!" Pamiętałem dobrze wczorajszy strzał — tuż parę minut po ruszeniu naganki!



Z polowań na pantery i dziki w górach Atlasu.
Fot. A. ks. Lubomirski.

Skurczyłem się jak mogłem za resztą pozostałych gałęzi — jednak z prawej strony byłem napewno cholernie widoczny!

Byłem wściekły — tyle lat poluję i zawsze z temi rysiami jakiś fatalny pech mnie prześladuje. Stulony czekałem... już naganka przeszła dobrą ćwierć ostępu... już zbliżają się do połowy. Kropla z nosa leci mi po wardze — zaciskam usta, ale nie ruszam nawet palcem... coraz smutniejszy nastrój mnie ogarnia: albo padnie zaraz strzał u Pusłowskiego, albo rysi wcale niema, lub wyszły przez flardy! — przecież wiadomo, że tylko w 50% procentach je honorują, to nie lis ani wilk, który jest prawie murowany we fladrach! Pesymistyczny nastrój wzrastał z każdą chwilą — już tylko jakieś 400 mtr. dzieliło mnie od naganki... już poczułem lekki powiew rezygnacji i pociąg do papierosa — ale trwałem dalej w martwym bezruchu... Nagle ze strony łozy, na kulawy sztych z lewa, usłyszałem cichy, ledwie uchwytny szelest zbliżających się skoków — tak, jakby zając... Utkwiłem zaostrzony wzrok w gąszcz łoziny... i raptem ująłem okiem jakiś płowy, szarawy cień, który się zbliżał śród gęstej łozy żmijowym ruchem, unikając dotknięcia czegokolwiek.

Gorąca fala chlusnęła aż do głowy i odpłynęła do nóg. Teraz widziałem już wyraźnie: w szerokim

kłusie z łopaty, miękko i kocio płynął piękny zwierz. Był o jakieś 35 kroków, już miałem wewnętrzny odruch strzału, choć nie drgnąłem ani jednym muskułem. Nagle zauważyłem, tuż o parę metrów, ślad w ślad, drugi identyczny cień, a po sekundzie, jeszcze z tyłu dalej trzeci cień tego samego gatunku w ruchach i wielkości, ale bardziej szary. To była sekunda największej emocji myśliwskiej — ścisnąłem odruchowo silniej strzelbę w palcach. Przeniosłem oko na pierwszą sztukę — była już o 25 kroków prawie na czystem i na jednej linji ze mną... W tej chwili raptownie przystanęła, pamiętam, jak we śnie, rzut głowy w moją stronę, ogromne zielono-żółte oczy, białe baki... Przestrzeń jednego skoku dzieliła go od gąszcza świerkowego za mną — nie było ani chwili do stracenia...



Zestarzała cieciorka. (Do notatki na str. 378).

Podrzuciłem broń, pamiętam, jak zamajaczyła na muszce płowa łopatka — suchy trzask! i zwierz runął, jak piorunem rażony w śnieg. Nie odrywając strzelby, poprowadziłem w prawo i złapałem na lufę część białej piersi i rudej łopatki drugiej sztuki, która, zrobiwszy półskok w bok, przystanęła oszołomiona... Drugi trzask i drugie bezwładne runięcie w śnieg.

Dla pewności jeszcze sprawdziłem przelotnie: obie sztuki leżały bez ruchu, kompletnie martwe. Jednocześnie ręce z przyzwyczajenia, odruchowo odrabiały swoją pracę: eżektory wyrzuciły puste gilzy, prawa ręka złapała trzeci nabój, przygotowany w kieszeni.

Trzeciego rysia w czasie rozprawy z dwoma pierwszemi straciłem oczywiście z oka, obecnie widziałem, jak ogromnym susem (7—8 mtr.) wylądował prawie na sam skraj polany. Był odemnie na jakieś 45 mtr., ten skok był jego zgubą, gdyby się bowiem rzucił w stronę miotu, pochłonęłaby go puszcza. Spostrzegł teraz swój błąd i gwałtownie chciał go naprawić — sadził w wielkich susach z powrotem ku kniei, lecz było zapóźno — uchwyciłem moment lądowania — padł trzeci strzał, ulokowany na prawej komorze i ryś zrulował przez łeb, jak zając. Od pierwszego do ostatniego strzału nie upłynęło więcej niż 7—8 sekund.

Stałem odurzony powodzeniem, wparty oczami w odcinek lasu, na którym, przed chwilą, rozegrany został ostatni akt dramatu rodziny rysiej.

Niepowodzenia wielu lat zostały wspaniale powetowane w 8 sekund! Ostatni ryś jeszcze żył, miotając się na miejscu kurczowo — dobiłem go, aby się nie męczył. Był to szarawy samiec, bardzo podobny umaszczeniem do kanadyjskich krewniaków (długość 158 ctm.).

Pierwsza płowa, pięknie centkowana samica, była największą (168 ctm.). Drugi ryś był samcem, bardzo podobny umaszczeniem do samicy (164 ctm. długości). (Długość niestety była mierzona nieprawidłowo, bo od przednich do tylnych kończyn, zamiast od nosa do końca ogona).

Z prawdziwą dumą założyłem sobie gałązkę świerczyny, otrzymaną z rąk tak wytrawnego i świetnego myśliwego — jak hr. Wojciech Pusłowski. Posypały się zapytania i ożywiona wymiana wrażeń. „Nie mogłem zrozumieć, jak Pan tak szybko zdążył strzelić trzeci raz, wszystkie strzały padły zaledwie w kilkunastu sekundach?", zapytywał Pan Wojciech. „Strasznie długo dotrzymały, ja się martwiłem, że już nic nie będzie, a że rysie przeszły przez flardy", mówił Pan nadleśny. „Nu pozdrawlajem Panie Pułkowniku", mówił z radosnym uśmiechem Kuprianczyk, „pamiatnoje na dołgo miesto budie tut: tam gdzie Pałkownik tri rysia bije!"

Jechaliśmy tą samą drogą z powrotem.

Blade słońce chowało się za czuby sosen, rzucając barwne odblaski na czarowną puszczę poleską. Zapatrzeni milczeliśmy... mróz krzepnął, śnieg skrzypiał pod płozami... „O czem się Pan tak zamyślił, Pułkowniku?" — zapytał Pan Wojciech. „Wie Pan, że mam takie uczucie, jak gdybym stare, dobre wino jednym haustem łyknął. Oczywiście tryplet do rysi to niezwykły dar fortuny i rekord, na powtórzenie którego może nasza myśliwska brać dziesiątki lat czekać. Żałuję jednak teraz, że rozkoszy tych łowieckich nie dano mi rozciągnąć — po jednym na rok. Za szlachetna i rzadka zwierzyna na 'tryplety!" „Może Pan ma i rację", odpowiedział gospodarz w zadumie.

I jak tu ludziom dogodzić?

Wybacz, św. Hubercie!

BYSTRAM.



CZARY I ZABOBONY MYŚLIWSKIE KSIĘCIA HIERONIMA FLORJANA RADZIWIŁŁA.

Wiara w czary i gusła jest od zamierzchłych czasów aż po dzień dzisiejszy wspólną własnością ludów. Kwitnie wszędzie. Nawet ludzie oświeceni i kulturalni, luminarze nauki, przechowują różne kamienie, lub korzonki i tym podobne talizmany, przypisując im dziwną własność...

Zygmunt Gloger (1845 — 1910), historyk i ludoznawca, powiada, że u naszego ludu najbardziej zakorzenioną była wiara w czary mleczne, miłosne, wzrokowe, myśliwskie, lekarskie oraz dotyczące suszy i pogody. Rzecz ta jednak miała pełne prawa obywatelstwa nietylko u ludu, ale u wszystkich warstw narodu naszego. Nie był też od nich wolny magnacki ród Radziwiłłów. Tu kobiety i mężczyźni mieli swoje najrozmaitsze „wierzenia", lecz najciekawszym typem zabobonnego i przesądnego człowieka był książę Hieronim Florjan Radziwiłł, syn ks. Karola I Stanisława Radziwiłła i Anny z Sanguszków.

Oto wiązka szczegółów, charakteryzujących tego potężnego książęcego dziwaka: Hieronim Florjan, ur. 4 maja 1715 r., zmarł 17 maja 1760 r. w Białej, tknięty apopleksją. Bogacz miljonowy, dziedzic na Białej i całej Słuczczyźnie, chorąży litewski, starosta grodowy Przemyski i Krzyczewski, dumny, porywczy, dziki, okrutny, absolutny i srogi, pastwił się nad ludźmi; skąpy nadzwyczaj, lecz, gdy już musiał wystąpić z ucztą, wtedy olśniewał królewską wystawnością. Obojętny na sprawy publiczne i religijne. Podejrzliwy w wysokim stopniu, pełen uprzedzeń, nie uznawał nad sobą żadnej władzy, ani króla, ani hetmana. Zawsze trzeźwy, tępił pijaństwo nawet śmiercią. Wieszał jednak nietylko za opilstwo, ale za złą odpowiedź i za nic, zależnie od fantazji swej w danym momencie. Zawsze ponury, bez uśmiechu na twarzy, mało gościnny, niegrzeczny wysoce i despotyczny wobec żony i najbliższej rodziny. Do tych wad, których tyle posiadał, że śmiało rzec można, iż zalet nie miał, dodać należy jeszcze wielką zabobonność.

Wierzył ks. Hieronim we wszystkie czary, gusła i przesądy. W pozostałych po nim pismach spotykamy bardzo liczne stronice, zapisane t. zw. *arcanami*, t. j. cudownemi środkami przeciw chorobom, urokom, złym ludziom, niepowodzeniom na łowach i t. p.

Jako zapalony myśliwy, miał ks. Hieronim różne swoje przesądy i czary. Oto niektóre z nich, wydobyte na światło dzienne z pożółkłych, po nim pozostałych, a dotąd nieznanych rękopisów:

Myśliwy, który usłyszał w polu lub w lesie strzał, choćby najdalszy, powinien wziąć źdźbło, trzaskę lub kamień, będący w tym momencie pod jego stopą i obrócić go wspak, a wtedy dana strzelba nie odda strzału tak długo, dopóki przewrócony przedmiot z powrotem odwrócony nie będzie. — Zaiste świetny sposób na kłusowników, operujących strzelbą.

Chcąc, aby najbardziej rączy chart nie dogonił zająca, powinien myśliwy pierwszy kamień, który ujrzał, jadąc konno, przewrócić na drugą stronę, t. j. odwrotnie, niż leżał...

Gdy kto żołądek jeleni upiecze lub spali, dodawszy do tego kilka kropel menstruacji i to rozrzuci w rewirze, wówczas żaden myśliwy, polujący w tym dniu — szczęścia zupełnie mieć nie będzie.

Gdy kto zakadzi w puszczy „liparem", wówczas zgromadzi się w pobliżu wszelaki zwierz, nietylko z własnej, ale i z sąsiedniej puszczy. — Gdyby to tak dzisiaj mieć taki „lipar", możnaby ładne kawały wyczyniać sąsiadom.

Myśliwy, który nogi zajęcze przywiąże do prawego ramienia, spowoduje, że idące z nim psy będą ciche, nie mogąc szczekać. Taki sam skutek wywiera wątroba psia, lecz tylko na psy tego samego gatunku, z którego owa wątroba pochodzi.

Chcąc upolować wilki bez strzelby, należy wziąć kilka żywych rybek morskich i zetrzeć w moździerzu. Następnie rozpalić nocą w lesie ogień na górze, około której gromadzą się wilki, i w ten ogień — wiejący do kniei — wrzucić masę z moździerza. Równocześnie smażyć w rondlu bigos z baraniny i z tych samych rybek, zostawić to na ogniu, a samemu usunąć się z tego miejsca. Wkrótce zapach bigosu znęci wilki, które, gdy ogień wygaśnie, pożerają wszystko z rondla, a mając pełne żołądki i nozdrza pełne miłego dla nich zapachu rybek, zasypiają tak twardo, że ukryty w pobliżu myśliwy, może je z łatwością poznąć, lub żywcem powiązać, czy też wystrzelać.



Hieronim, Florjan ks. Radziwiłł.

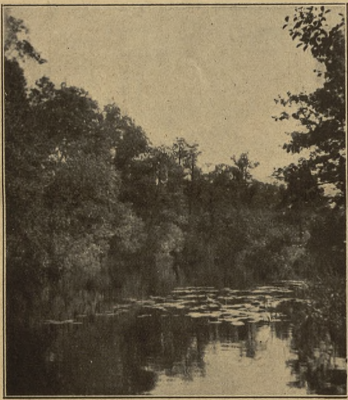
Myśliwy zaś, który pragnie pozbyć się wilków ze swojej kniei, powinien schwytanego żywego wilka przyprowadzić na pierwszy róg granicy, tu „poprzetrącać mu nogi i ponacinać, i wlec w tem kalectwie około granicy", a przyszedłszy na pierwsze miejsce, skąd się wyszło, zakopać wilka głęboko.

A teraz inne zabobony, które mogą być pomocne myśliwemu; książę Hieronim bowiem, jako namiętny myśliwy, był częstym gościem w swych ciemnych puszczach i borach, strzelał, brał na oszczepy i chwytał na różne sposoby wszelaką większą i mniejszą zwierzynę, a w każdej miał zawsze coś, co było treścią jego czarów, wierzeń, przepowiedni i zabobonu.

Całą potęgą swej hardej i twardej duszy wierzył książę w czary lekarskie. Dnia 27 stycznia 1749 roku stanął w Wiśnicach, gdzie zastał ciotkę swoją księżniczkę Sanguszkównę-Sapieżynę, wojewodzinę brzeską, cierpiącą na różę na twarzy. Poradził jej wówczas s y m p a t y c z n y s e k r e t, t. j. aby na sobie nosiła

zawieszony na zielonej wstążce „wysuszony język marmurka sybirskiego", t. j. lisa czarnego. Rzecz ta, dotąd przez niejednych praktykowana, przynosiła, według zapewnienia księcia, pożądany skutek dla zdrowia. Po zaaplikowaniu tego nadzwyczajnego lekarstwa, poprawa już następnego dnia była tak widoczna, że „czyniła nadzieję w dni kilka zupełnej zdrowia restauracji". Dnia 29 stycznia t. j. po dwóch dniach wyjechał książę chorąży z Wisznic, zostawiwszy ciotkę już prawie zdrową, lecz... na opiece lekarza.

Cierpiał książę na kamienie, które go omal nie przyprawiły o śmierć. Aż oto znalazł skuteczne lekarstwo: pod wpływem większej ilości czosnku kruszały częściowo kamienie i wychodziły z niego. Brał je wtedy książę i ścierał na proch, a wymieszane z winem wypijał i to go ratowało... Miał też drugi, równie oryginalny środek na kruszenie kamieni, formujących się w człowieku. Zalecał mianowicie wsadzać w piec „zająca całego ze skórą i kiszkami", ażeby wysechł na skwarek, wtedy kruszył go na proszek i zażywał tyle, ile zaważyły trzy talary.



Rzeka Lwa. Fot. Z. Czarkowski.

W dniu 1 marca wyjeżdżał stale w pole, lecz nie dla uciechy polowania, tylko dla zdobycia krwi zajęczyc, goniących w tym miesiącu z gachami. Krew ta, wzięta na koniec noża i dana w ciepłem piwie do wypicia choremu, była jedynem lekarstwem przeciw zaraźliwej krwawej biegunce t. j. czerwonce. Jednak conditio sine qua non było, aby te zajęczyce były właśnie strzelane w dniu 1 marca, krew bowiem zajęczyc, ubitych w innym dniu, nie miała żadnej mocy leczniczej.

Dnia 27 stycznia 1750 r., wyjeżdżając z Torunia, stanął książę na nocleg w Kaczkowie u Dąbskiego, podczaszego W. K. Wówczas Dąbska darowała mu klucz św. Huberta, którym, po rozpaleniu go, piętnowano na łbach zwierzęta, pokąsane przez psa wściekłego. Zapobiegało to wściekliźnie, a nawet leczyło wściekłe już zwierzęta „lecz z tym dokładem— pisał w djarjuszu — by przy paleniu każdego konia lub psa trzy Zdrowaś Marja odmówić. Prezent ten jest wielkiego waloru u mnie, jako u chcącego widzieć psy, żadnemu nieszczęściu niepodlegające".

W te wszystkie swoje bzdurstwa wierzył książę Hieronim niezachwianie, mając przytem wysokie pojęcie o własnej wiedzy lekarskiej, której naukowo nigdy nie dotykał. W resztkach potarganego djarjusza jego czytamy pod datą 30 października 1750 r.: „...zachorowałem był ciężko na krzyże, lecz z sobą miałem przedniego lekarza doktora P. Fiszera, i sam też prawie mu równy, nie chwaląc się, będąc w medycynie".

Stan pogody nie jest rzeczą obojętną dla wybierającego się na polowanie. Miał też książę Hieronim własne „sekreta poznawania tak latem jak zimą pogód, mrozów, deszczów i słot". Oto niektóre z nich:

Gdy się skrzy sadza w samym rogu komina — latem oznacza pogodę, zimą — mróz. Gdy zaś skrzy się po bokach komina — przepowiada latem deszcz, zimą — odwilż.

Wziąć na szpilkę pchłę, która wpadła w roztopiony wosk płonącej świecy i w nim zginęła; przyłożyć ją następnie do płomienia tejże świecy. Jeśli przypieczona pchła lekko psyknie, zdmuchując płomyk w bok, oznacza zimą odwilż, latem zaś deszcz. Gdy natomiast pchła trzaśnie głośno w ogniu, zimą mróz, latem pogodę nieomylną oznacza.

Gdy słońce latem zachodzi bez żadnej chmury, znak to pogody, zimą zaś jest przepowiednią tęgiego mrozu.

Gdy latem burczą wnętrzności u psa śpiącego, jest to znak deszczu, zimą zaś odwilży.

Jeśli pies je latem trawę, a zimą siano — znak to nieomylny słoty.

Przywiązywał też chorąży litewski wielką wiarę do snów i kabały, które przepowiadały mu, że... osiądzie na tronie polskim. W różnych znakach i zdarzeniach dopatrywał się ten zabobonnik korony królewskiej dla siebie. Na polowaniu w dniu 23 czerwca 1749 roku, krążył nad nim trzykrotnie „orzeł biały nie wyżej jak w pół drzew". Fakt ten zanotował w swym dzienniku, jako dobrą wróżbę, dodając: „żeby jednak miał eundem przynieść augurium co dziadowi memu po babce, królowi Imci Sobieskiemu przed zostaniem monarchą ut fert fama".

Mówiąc o orle białym, przejdźmy do ptaszków, które dla książęcego dziwaka były źródłem niesamowitych mocy w różnych sprawach i zagadnieniach życiowych. Człowiekowi, któryby pragnął nie zasnąć po kilku z rzędu nieprzespanych nocach, polecał włożyć za kapelusz serce nietoperza lub kruka. Trzymając ten kapelusz na głowie — sen go nie zmorzy.

Kto natomiast pragnie, aby nie odmówiono jego prośbie, powinien złapać w sierpniu jaskółkę i milcząc wyjąć jej język, a gdy o co prosić będzie, niech ten języczek jaskółczy trzyma pod swoim językiem, a zawsze wszystko uzyska.

Ciekawy jest sposób, „aby kto ze snu się nie obudził": złapać nietoperza, uciąć mu łeb i włożyć śpiącemu pod głowę. Wówczas choćbyś go na wszystkie strony obracał, nie obudzi się. — Obawiam się, ażebym przez wyjawienie tego sekretu nie przyczynił się do wzrostu już i tak wielkiej u nas przestępczości. A nuż dowiedzą się o tem różne rzezimieszki i ptaki niebieskie...

Razu pewnego zapytany książę o skuteczny środek przeciw pchłom, które obsiadły całą psiarnię, zalecił następującą rzecz: kiedy się słyszy z wiosną pierwsze kukanie kukułki, przystanąć natychmiast i oznaczyć nożem na ziemi, naokoło, stopę prawej nogi, potem zabrać trochę tej ziemi z pod stopy i schować, a w razie potrzeby zasypywać nią miejsca, gdzie pchły się trzymają.

Pasterzowi, który pragnął, aby mu wilk owiec z trzody nie porywał, radził mieć bęben naciągnięty surową wilczą skórą i weń bębnić, a wilk na odgłos bębna ujdzie w zaświaty.

Szczur jest szkodnikiem w gospodarstwie rybnem,

jak również w łowieckiem. Miał jednak książę i na tego dokuczliwego gryzonia skuteczny sposób. Zalecał bowiem kadzenie kopytem końskiem, osłem lub mułem — zapewniając, że ani szczurów, ani myszy nie stanie.

Wędrując ze strzelbą w ręku po borach, zarośniętych moczarach i trzęsawiskach, nie raz jeden znalazł się książę Hieronim w tarapatach i opresji, nie raz jeden posłuszna i jak pies wierna służba dobywała go z grzęzawiska, ratując od niechybnej śmierci. Aż wreszcie na te kłopoty znalazł ów magnat receptę: ustalił bowiem, że człowiek, który wstając rano splunie w prawą rękę, a następnie uczyni to samo w prawy but przed wdzianiem go, może śmiało przechodzić przez najniebezpieczniejsze miejsca.

Podałem tu gusła i zabobony, które specjalnie interesować mogą świat łowiecki. Pozostało ich jeszcze wiele z innych dziedzin, w tem niektóre tak drastyczne, że zapewne nigdy nie ujrzą legalnego druku.

Nikt z otoczenia nie zwracał temu magnatowi uwagi na liczne zabobonne ekstrawagancje jego, bo któżby odważył się sprzeciwić jego książęcym poglądom. Rację miał zawsze Hieronim Radziwiłł, bo był Radziwiłłem, a Radziwiłł o tak przewrotnym charakterze i spaczonych pojęciach myślowych, nie znając od młodości żadnego hamulca, musiał pozostawić po sobie pamięć nietylko strasznego dziwaka i znanego w kraju i zagranicą guślarza i zabobonnika, ale też niespotykanego oryginała - myśliwego.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

UWAGI Z DZIEDZINY HODOWLI.

Kasztany jako pasza.

Wiadomo, że jelenie chętnie jedzą kasztany nawet świeże, opadłe z drzewa. Stąd wniosek, zresztą potwierdzony doświadczeniami hodowców zagranicznych, że nasze kasztany, bezużytecznie ginące w wielkich nieraz masach, zużytkować można, jako karmę treściwą dla sarn.

W tym celu należy kasztany posiekać, lub rozbić młotkiem i z początku w małych ilościach dodawać do karmy soczystej (buraki, brukiew, marchew), lekko posypując solą. Sarna szybko oswaja się z kasztanami i spożywa je coraz obficiej. Zadawać je można równie dobrze w korytkach, jak i na gołej ziemi, lub udeptanym śniegu, usuwając często niewyjedzone resztki, te bowiem, spleśniałe i butwiejące, są dla sarn szkodliwe. Ze względu na dużą zawartość części odżywczych w kasztanach i na ich łatwość zdobycia, warto spróbować tego sposobu dożywiania nietylko sarn, ale i bażantów. Nadmieniam, że kasztanów nie potrzeba odgoryczać.

Regulacja odstrzału pogranicznego.

W Wirtembergji wchodzi w zwyczaj nowy sposób regulowania sąsiedzkich sporów, wynikłych na tle szkód polnych, spowodowanych przez zwierzynę przyległych lasów. Przypuśćmy, że na pola wychodzi 40 sztuk sarn, lub jeleni. Właściciel lasu i właściciel pola, wspólnie z powiatowym łowczym (Kreisjägermeister) stwierdzają to urzędownie i z tych 40 sztuk przeznaczają do odstrzału 10 sztuk. Z tych 10 sztuk 30%, czyli 3, uznaje się za własność posiadacza pola, 70%, czyli 7 szt., za własność posiadacza lasu. Jest to sposób dobry tak pod względem materjalnym, jak moralnym. Rolnik ma wartością zwierzyny pokryte szkody, przez nią wyrządzone, a równocześnie jest niejako współwłaścicielem zwierzyny i jej zainteresowanym hodowcą, przestając tem samem być jej wrogiem. Sądzę, że tego rodzaju regulacja sąsiedzkich stosunków, usankcjonowana przez obowiązującą ustawę łowiecką, mogłaby dużo zaważyć na szali stosunku rolnika do zwierzyny.

Drzewa liściaste w hodowli zwierzyny.

Osina i brzoza, tak powszechnie zwane leśnym chwastem, są jednak niemal niezbędne dla zwierzyny w zimowej porze głodowej. Korę osiny obgryza namiętnie zając i królik, a gałęzie (i na palec grube) jeleń i sarna. Gdzie osiny jest dużo, tam wycina się ją pojedyńczo w różnych punktach rewiru i zostawia na ogryz zwierzynie bądź w całości, bądź wierzchoły. Wiadomo, że np. sucha koniczyna wywołuje schorzenia organów trawienia u zajęcy, przeciwdziałanie paszą soczystą przemarzłą — jest dla zająca jeszcze szkodliwsze; jedynem wtedy lekarstwem, jedyną paszą soczystą jest kora drzewna — i tu osina oddaje zwierzostanowi niczem niezastąpione przysługi: zającowi, jako substancja dietetyczna, sarnie i jeleniowi, jako zadatek na silny rozwój poroża.

Na drugiem miejscu stawiam brzozę, nietylko chętnie ogryzaną, ale i obdziobywaną. Niedawno Niemcy nazwali cietrzewia „Birkhahn", bo żywi się on przeważnie pąkami i kotkami brzozowemi, a gdzie ginie brzoza, tam ginie i cietrzew. Równie ściśle związaną jest egzystencja jarząbka z leszczyną i stąd jego niemiecka nazwa „Haselhuhn".



Jasiolda w skwarne południe. Fot. Z. Wysłouch.

Nie mogę tu pominąć graba, ulubionego smakołyku sarn i jeleni, którym dostarcza taniny, stanowiącej o zabarwieniu i połysku poroża.

Czem jest dla zwierzyny liściasty podrost leśny, najlepiej świadczy fakt, że w katastrofalnej zimie r. 1928-9 największy ubytek zwierzyny nietylko u nas, ale w Niemczech i Czechach, notowano w dużych kompleksach leśnych czysto iglastych, pozbawionych liściastego podszycia.

O liściaste podszycie należy się, o ile możności, postarać zwłaszcza w starszych lasach sosnowych i świerkowych, a powinno ono się składać z osiny, grabu, brzozy, akacji oraz dzikich jabłoni, grusz i śliwek. Podrost taki, niezbyt kosztowny, da po wycięciu lasu sporo, pośledniego wprawdzie, materjału opałowego na użytek domowy, a stanowić będzie dużą oszczędność w kosztach zimowego dokarmiania zwierzyny, nie mówiąc już o jej stanie zdrowotnym.

Radzę również, podczas zimowego przecinania drzew owocowych w większych sadach, wywozić wytrzebione gałęzie na pole. Trud to niewielki, ale jaka uczta dla zajęcy!

WŁ. KARNKOWSKI.

POINTER W POLSCE*)

Przeczytawszy z zaciekawieniem artykuły p. Kamieńskiego o rozwoju hodowli pointera w Polsce, opublikowane w kilku numerach „Łowca Pol." — zadałem sobie pytanie:

— Czy myśliwi, czytający „Łowca Pol.", a nieznający „kwestji pointera" osobiście, wyrobią sobie o niej na podstawie powyższej lektury — zdanie trafne, czy mylne?

Mimo całego szacunku i żywej sympatji, jaką darzę p. Kamieńskiego, muszę odpowiedzieć: na podstawie Jego artykułów myśliwi ci wyrobią sobie zdanie błędne. Mianowicie mogą odnieść wrażenie, że w Polsce jest dużo i dobrych psów tej rasy, w szczególności zaś dwie hodowle polskie produkują doskonałe psy.



„Marbiel-Imp", wł. inż. Siedliskiego. Fot. W Rudlicki.

Otóż tego rodzaju przekonanie może jak najfatalniej odbić się na hodowli psa myśliwskiego w Polsce, gdyż jest wręcz przeciwnie: w kraju mamy zaledwie k i l k a psów, które można traktować poważnie (innemi słowy zaledwie kilka psów, które można uważać za pointery), dwie zaś psiarnie, o których mówi Szanowny Autor, wprowadzają hodowlę pointera na tory niewłaściwe.

Zdaję sobie całkowicie sprawę z ciężkości tego zarzutu, niemniej jednak, ponieważ kwestję psa myśliwskiego w Polsce trzeba uznać za ważniejszą, aniżeli względy sympatji osobistej, jaką darzę obu Szanownych Hodowców — zarzut ten muszę postawić. Jeśli nie będzie się ciągle i nieustannie ostrzegać pp. myśliwych przed niebezpieczeństwem anglomanji, jeśli w dalszym ciągu będzie trwał obecny stan rzeczy, jeśli, co gorsza, pp. myśliwi pójdą w kierunku, wyznaczonym przez dwie, tak chwalone w artykułach p. Kamieńskiego hodowle — wkrótce dojdziemy do tego smutnego stanu, który panuje w Anglji. Będziemy mieli dwie rasy pointerów: piękne psy na wystawę, bez żadnych zalet polowych i kundle z wiatrem i chodami na konkursy polowe.

Śledzę bardzo uważnie zarówno wystawy, jak i konkursy polowe, przeto muszę stwierdzić: przeważająca większość psów, występujących od szeregu lat w Wilanowie (a niemal wszystkie te, o których pisał p. Kamieński) jest nieodpowiednim materjałem hodowlanym. Są to prawie wszystko psy wadliwie zbudowane (podkasane, bez żeber, z charakterystyczną „pieczenią szwedzką", czyli słabym, okrągłym krzyżem, odziedziczonym po szwedzkich importach), wiele z nich zaś, właszcza po tak chwalonym przez Szanownego Autora „Janko", posiada słabe kończyny, zwłaszcza tylne (strome łapy). Są to wszystko bardzo ciężkie, wprost kardynalne błędy budowy, u psów polowych szczególnie niedopuszczalne. Psy tak zbudowane nie mogą pracować przez dłuższy czas i po kilku godzinach się męczą, a nawet dobrze trenowane psy z taką budową ustaną po krótkim czasie. Tymczasem psy, zbudowane prawidłowo, z dobrym treningiem, mogą pracować dzień w dzień, przez cały sezon, od wschodu do zachodu słońca.

W roku zeszłym, czy też dwa lata temu, w pamiętnej polemice z p. Dylewskim, większość polemistów wypowiedziała się ostro przeciwko jego stanowisku. Zapewne, że tezy p. Dylewskiego nie dadzą się utrzymać w całej rozciągłości. Lecz jedna z nich należy do absolutnie słusznych, mianowicie wymaganie od psa wytrzymałości. Pod tym względem próby nie dadzą rezultatu w praktyce, gdyż trzebaby próbować psa przez szereg dni z rzędu, zwłaszcza psa źle zbudowanego, lecz z treningiem. Natomiast jeden rzut oka na budowę wystarczy, aby poznać, czy pies ma kwalifikacje w kierunku wytrzymałości, czy nie.

Otóż budowa psów, występujących rokrocznie w Wilanowie, z pokolenia na pokolenie, wskazuje, że psy te nie mają kwalifikacyj na wytrzymałość.

Co do wiatru, to wbrew entuzjazmowi Szanownego Autora, trzeba stwierdzić, że większość psów, o których mowa, zwłaszcza z owych dwu hodowli — mają wiatr ś r e d n i. W ciągu szeregu lat w Wilanowie pokazano zaledwie cztery, lub pięć psów z wiatrem d o b r y m, a ze dwa z wiatrem d o s k o n a ł y m. Lecz właśnie te wszystkie psy były pominięte w artykule p. Kamieńskiego.

Szanowny Autor ciągle operuje oceną punktową i wysokiemi miejscami, zajmowanemi przez opisywane psy na „próbach polowych". Uważam ten moment za niebezpieczny. Wśród myśliwych, nieznających szczegółów, owe oceny mogą wprowadzić tylko zamęt, u dobrze zaś poinformowanych wywołują uśmiech na usta. Nic dziwnego, że psy chwalonych przez p. Kamieńskiego hodowli zajmują czołowe miejsca, gdyż artykuł omawia próby polowe, organizowane przez Pointer Klub (Setter Klub i Towarzystwo Hodowli P. M. składa się z tych samych członków), a w próbach tych organizacyj biorą udział tylko właśnie te dwie hodowle.

Również trochę zabawnie wyglądają wysokie oceny po 20 i 22 punkty „za wiatr". Przecież wszyscy te psy znamy, drogi Autorze! A kto widział robotę tych psów, ten wie, że psów z wiatrem rzeczywiście na 22 punkty było dotychczas w Wilanowie może dwa, a z wiatrem rzeczywiście na 20 punktów może cztery, lub pięć. Wszystkie psy, cytowane przez Szanownego Autora, mają wiatr, wahający się w granicach (według przyjętej tabelki) między 14 a 18 punktami. (Biorę tu za podstawę, miarodajną ocenę dwóch psów z istotnie doskonałym wiatrem, dokonaną przez pp. inż. Knothego, Marra i bar. Döhna z Berlina. Wiatr jednego z tych psów był określony na 20 punktów, drugiego na 18. Jeśli więc komisja, złożona z takich autorytetów, jak wymienieni trzej panowie — tak ostrożnie szafuje punktami wobec psów o istotnie dobrym wietrze — to każdy przyzna, że

*) Zamieszczając niniejszy artykuł, zarówno jak i poprzedni p. Kamieńskiego, redakcja „Ł. P." nie zajmuje wobec poruszanych w nich kwestyj stanowiska, uważając, iż są zbyt specjalne i mogą być traktowane tylko przez hodowców — wybitnych znawców przedmiotu. Pozwolimy sobie tylko zauważyć, że cały materjał hodowlany, o którym w obu artykułach jest mowa, to nie żadne „kundle", a wszystko psy z doskonałemi rodowodami, wykazujące te lub inne zalety i braki exterieru, lub właściwości polowych i że wyżeł zaczyna się od... nosa. *(Przyp. red.)*.

rozrzutność, okazana wobec psów o wietrze średnim, wygląda niezbyt poważnie).

Nie mogę pominąć jeszcze jednej okoliczności — aczkolwiek mniejszej, niż poprzednie, wagi, jednak mającej swe znaczenie, jeśli idzie o hodowlę psa czystej rasy.

Oto wszystkie prawie psy, cytowane przez Szanownego Autora, niezbyt podobne są do pointerów. Te charcie pyszczki, to podkasanie, zbyt długie ogony, właściwsze u ogarów, niż u pointerów, świadczą o domieszce krwi.

Hodowcy, o których mówi p. Kamieński, mają bezwątpienia wielkie zasługi, ale idą po niewłaściwej drodze i powinno się ostrzegać Ich, a nie jeszcze w tym kierunku popychać. Zapatrzeni są na Anglję i otwarcie mówią, że wystarcza im, aby pies miał rodowód, jaki taki wiatr i dobre chody.

— Nie można — powiadają — osiągnąć ideału. Albo chowamy psy na wystawę, albo do pola. Ja chowam psy do pola.

Inni mówią to samo, tylko z drugiej strony.

— Nie osiągnę ideału. Ale, ponieważ poluję z psem tylko trzy miesiące, a patrzę na psa rok okrągły, więc wolę patrzeć na pięknego pointera, niż na kundla. Mój pointer nie jest w polu najlepszy, ale i nie ostatni, a maszyny do wystawiania kuropatw nie potrzebuję.

I chowają psy na wystawę.

Otóż na to można tylko odpowiedzieć: właśnie zadaniem hodowcy jest dążyć do ideału. Właśnie trzeba się umówić: albo chowamy pointery, albo mieszańce, niezłe do pola (ale znowu nie tak wyborne, jakby to można mniemać z artykułu Szanownego Autora). Każdy hodowca — myśliwy zgodzi się z tem, że dobry wiatr jest większą zaletą hodowlaną, niż piękny łeb, a prawidłowa budowa i dobre chody cenniejsze, niż piękna maść, zawsze więc da pierwszeństwo dobrze zbudowanemu psu z wiatrem przed lalką wystawową bez wiatru. Ale co innego jest ładniejszy, czy brzydszy łeb, ale łeb pointera, co innego krótsza, lub dłuższa szyja, ale kształty pointera — a co innego charci pyszczek i długi ogon, świadczący o domieszce krwi.

Hodowcy pointera, który mi mówi:

— U mnie pierwsza zasada to chody i wiatr...

Odpowiem:

— Pierwszą zasadą hodowcy pointera jest chować pointera, nie mieszańca.

Tymczasem cóż się dzieje? Zamiast chować pointery i selekcjonować między niemi dobry materjał polowy, zamiast dążyć do kumulowania cech: dobry exterieur i zalety polowe — nasi hodowcy mendlują te cechy. Rozdzielają materjał hodowlany na pointery wystawowe i *(excusez le mot)* kundle polowe. A prasa fachowa, zamiast gromić to postępowanie, wręcz sprzeczne z zadaniami hodowcy i interesem łowiectwa — jeszcze je podtrzymuje w zapale.*)

Przykra to sprawa, ale właśnie dlatego trzeba ją poruszyć. Aby zaś nie spotkać się z zarzutem zbytniej przesady, dodam, że mój surowy sąd o rzeczy nie jest odosobniony. Jeden z największych autorytetów hodowlanych, p. Waldemar Marr, napisał czarno na białem, że, przyglądając się szereg lat angielskim psom legawym w Polsce, odniósł wrażenie przygnębiające. Dopiero w jesieni 1933 roku zobaczył psy istotnie wysokiej klasy. (Artykuł p. Marra jest wydrukowany w nr. 31 „Łowca Polskiego" z r. 1933).

Wiemy zaś dobrze, że tych psów nie widać na próbach, o których pisze p. Kamieński, a jeszcze lepiej wiemy o tem, że w próbach, o których pisze, brały udział właśnie te psy, które zrobiły na gościu berlińskim tak przygnębiające wrażenie. W próbach z lat 1934 i 1935 brało udział potomstwo tych psów, mojem zdaniem o wiele gorsze, niż ich importowani, lub bliscy importów rodzice, pokolenie jeszcze bardziej przygnębiające.**)

JULJAN BABIŃSKI

*) Nie rozumiemy przeciwko komu i za co skierowany jest ten zarzut *(Przyp. red.).*

**) Ta sama uwaga. *(Przyp. red.)*

ZMIANA CZASU OCHRONNEGO DLA SARN - KOZŁÓW W WOJEWÓDZTWACH POMORSKIEM I POZNAŃSKIEM.

W Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej Nr. 43 z dnia 19 czerwca r. b., w pozycji 289, ogłoszone zostało następujące

ROZPORZĄDZENIE
MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH
Z DNIA 4 CZERWCA 1935 R.

o zmianie rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 2 czerwca 1934 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych.

Na podstawie art. 51 ust. 1 pkt. a) rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem (Dz. U. R. P. Nr. 110, poz. 934) w brzmieniu ustalonem rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 11 lipca 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 67, poz. 622) zarządzam co następuje:

§ 1. W § 1 w wierszu 6 i 7 rozporządzenia Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 2 czerwca 1934 r. o rozszerzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych (Dz. U. R. P. Nr. 52, poz. 484) *) wyrazy „od 16 października do 31 maja" zastępuje się wyrazami „od 1 października do 31 maja i od 16 lipca do 15 sierpnia".

§ 2. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:

J. PONIATOWSKI".

*) W tej części wymienionego rozporządzenia jest mowa o czasie ochronnym dla sarn - kozłów w województwach pomorskiem i poznańskiem; zmiana więc, wprowadzona niniejszem rozporządzeniem dotyczy tej tylko zwierzyny i tych tylko województw. *(Przyp. red.).*

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 7 CZERWCA 1935 r.

Obecni p. p.: Przewodniczący — Wacław Szperling, Wiceprezes Zarządu — Maurycy hr. Potocki, Członkowie — red. Walenty Garczyński, dyr. Bohdan Gędziorowski, dr. Ignacy Grymiński, inż. Herman Knothe, Czesław Lisowski, gen. Stanisław Skrzyński, inż. Henryk Sosonko, inż. Andrzej Śliwiński, mec. dr. Aleksander Tallen - Wilczewski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Prządek dzienny:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 16 maja r. b.
2. Sprawa dzierżaw łowieckich w lasach państwowych.
3. Sprawa terminów ochronnych.
4. Sprawy Delegatów Powiatowych.
5. Rozpatrzenie wniosków o odznaczenia.
6. Sprawy bieżące.
7. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 16 maja r. b. zatwierdzono bez poprawek.

P. red. Garczyński odczytał protokół posiedzenia Komisji do sprawy dzierżaw terenów łowieckich państwowych z dnia 7 maja r. b. Na posiedzeniu tem Komisja wysunęła szereg dezyderatów, których uwzględnienie stanowić powinno podstawę przy zawieraniu umów dzierżawnych. Związek winien wyrazić Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych gotowość współpracy i najszerszej pomocy w tej dziedzinie. (Protokół posiedzenia Komisji do sprawy dzierżaw dołączony został do niniejszego protokółu).

P. inż. Śliwiński stawia wniosek, aby na podstawie zebranego przez Komisję materjału opracować memorjał do Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych, w którym treściwie ująć należy postulaty w kierunku zmiany dotychczasowej polityki łowieckiej w lasach państwowych.

Do opracowania projektu tego memorjału Wydział Wykonawczy powołał specjalną Komisję w osobach pp.: dyr. Gędziorowskiego, jako przewodniczącego, oraz red. Garczyńskiego, gen. Skrzyńskiego i inż. Śliwińskiego, jako członków. Referatu w Komisji podjął się p. gen. Skrzyński.

Opracowanie projektu odpowiedzi Związku na pismo Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie terminów ochronnych na niektóre gatunki zwierzyny łownej powierzono pp. prez. Szperlingowi i inż. Knothemu.

Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych nadesłała Związkowi zaproszenie na konferencję w sprawie wytycznych dalszej hodowli żubrów w Polsce, odbyć się mającą w dniu 11 b. m.

Wydział Wykonawczy powierzył reprezentowanie Związku na tej konferencji p. Wiceprezesowi hr. Potockiemu.

Zgodnie z postanowieniem Zarządu Związku z dnia 5 listopada r. ub., polecającem dokładne zbadanie możliwości prawnych wprowadzenia obowiązku plombowania zwierzyny bitej, przeznaczonej do sprzedaży, p. red. Garczyński przestudjował tę sprawę i stwierdził, że na tle obowiązującego ustawodawstwa projekt ten, wobec braku podstaw prawnych, nie jest w obecnej chwili możliwy do przeprowadzenia.

Opinję tę postanowiono przedstawić Zarządowi Związku.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, jako Oddziału Związku, Wydział Wykonawczy mianował Delegatami Związku:

w województwie lwowskiem —

inż. Stanisława Węgłowskiego (Kolbuszowa) — na powiat Kolbuszowa;

Jana hr. Siemieńskiego (Magierów, Zamek) — na powiat Rawa Ruska;

w województwie stanisławowskiem —

inż. Zygmunta Wasylewicza (Krechowice, Suchodów) — na powiat Dolina;

w województwie tarnopolskiem —

Wacława Roję (Brzeżany) — na powiat Brzeżany.

Przyjęto do wiadomości wyjaśnienie Delegata Związku na powiat Piotrków (Łd), p. dr. Lewkowicza, w sprawie wzmianki o stosunkach łowieckich, zamieszczonej w „Dzienniku Piotrkowskim".

Po rozpatrzeniu wniosków o odznaczenia, Wydział Wykonawczy nadał:

Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej

Antoniemu Ostrowskiemu, leśniczemu lasów państwowych w nadleśnictwie Nowa Wilejka, za zasługi na polu hodowli i ochrony zwierzyny i energiczną walkę z kłusownictwem.

Bronzowy Medal Zasługi Łowieckiej

Wacławowi Karolowi Bukowskiemu, przodownikowi policji państwowej, komendantowi posterunku w Gliniku II i

Stanisławowi Dąbrowskiemu, przodownikowi policji państwowej, komendantowi wartowni w Spale — obydwum za gorliwą, pełną poświęcenia i skuteczną walkę z kłusownictwem i wynkarstwem.

Franciszkowi Niwczykowi, st. posterunkowemu policji państwowej, p. o. komendanta posterunku w Ławaryszkach, za energiczną walkę z kłusownictwem.

P. Przewodniczący Szperling złożył sprawozdanie z bytności swej na walnem zgromadzeniu Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie, dnia 30 maja r. b.

Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi Związku wniosek o zaliczenie Sochaczewskiego Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego w Sochaczewie (członków 19) — w poczet Stowarzyszeń Związkowych.

Przyjęto do wiadomości treść opracowanej przez p. Lisowskiego odpowiedzi na pismo sekretarjatu Conseil International de la Chasse do p. Prezesa Gen. Sosnkowskiego w sprawie numeracji śrutu w nabojach myśliwskich.

Na wniosek p. Lisowskiego, Wydział Wykonawczy postanowił poprzeć propagandę urządzonej w całej Polsce, w dniach od 2 do 16 czerwca r. b., imprezy strzeleckiej p. n. „10 strzałów ku chwale Ojczyzny".

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z MIASTA WILNA.

Wileńskie starostwo grodzkie wydało w roku 1934 ogółem 369 kart łowieckich, jednak liczba myśliwych, zamieszkujących miasto Wilno jest znacznie większa, gdyż część tutejszych łowców, będących właścicielami posiadłości ziemskich, otrzymuje karty łowieckie ze starostwa powiatu wileńsko-trockiego, który należy już do innych delegatów, a zatem w sprawozdaniu mojem mówić o nim nie będę.

Na terenie m. Wilna istnieje 7 towarzystw łowieckich, przyczem wszystkie należą do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich bezpośrednio, lub też przez T-wo Łowieckie Ziem Wschodnich, będące Oddziałem Związku na województwa wileńskie i nowogródzkie.

Największą organizacją łowiecką w Wilnie jest wspomniane T-wo Łowieckie Ziem Wschodnich, liczące 179 członków. T-wo to jest placówką ideową, niedzierżawiącą żadnych terenów i nieurządzającą polowań. Zadaniem T-wa jest szerzenie kultury łowieckiej wśród najszerszych rzesz myśliwych Ziem Wschodnich i zwalczanie kłusownictwa przez wypłacanie nagród pieniężnych funkcjonarjuszom policji państwowej, strażnikom łowieckim i gajowym, którzy przyczynią się do ujęcia kłusowników czy wnykarzy. T-wo wydaje i finansuje od 10 lat dodatek łowiecki do gazety „Słowo", który ostatnio znowu zaczął wychodzić jako regularny, a znany jest już dziś w całej Polsce pod skróconą nazwą „Trąbek Myśliwskich" (pełny tytuł brzmi: „Gdzie to, gdzie zagrały trąbki myśliwskie?" Ponadto T-wo prowadzi stały dział łowiecki w Radjo Wileńskiem

(jedyny dotąd w Polsce) t. zw. „Chwilkę łowiecką", nadawaną raz, lub dwa razy miesięcznie.

Pod względem ilości członków, na drugiem miejscu postawić należy Polskie Stowarzyszenie Myśliwskie „Tur", zrzeszające 38 myśliwych. Stowarzyszenie dzierżawi 7.775 ha terenów łowieckich. Z przyjemnością nadmienić muszę, że T-wo utrzymuje stały, ścisły kontakt ze mną, jako delegatem P. Z. S. Ł., informując mnie o przebiegu swych prac, zapraszając na walne zebrania i t. p., czego dotąd nie uczyniło żadne inne tutejsze towarzystwo myśliwskie. Stowarzyszenie prenumeruje „Łowca Polskiego" i należy do P. Z. S. Ł. oraz do T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Oficerski Klub Łowiecki Garnizonu Wilno liczy 30 członków. Obszar terenów łowieckich Klubu wynosi 19.532, ha, przyczem prowadzi on ożywioną działalność na polu hodowli i rozmnoży zwierzyny. Wystarczy powiedzieć, że dzięki intensywnej i z dużym nakładem pracy i kosztów prowadzonej gospodarce — zwierzostan z każdym rokiem się poprawia, a na terenach Klubu, pomimo że znajdują się one w wysuniętym na północ powiecie święciańskim, przebywają w stanie dzikim nawet bażanty, których wpuszczono przed kilku laty kilkanaście sztuk. Pozatem występuje zając - szarak, sarna, lis, wilk, cietrzew, słonka, pardwa, kuropatwa, głuszec i ptactwo wodne, oraz błotne. Klub należy do P. Z. S. Ł. i T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich, a prenumeruje „Łowca" lwowskiego i „Łowca Polskiego".

Wileńskie T-wo Myśliwskie zrzesza 27 myśliwych i dzierżawi 11.518 ha terenów łowieckich. Jest to najstarsza w Wilnie organizacja łowiecka. T-wo posiada piękną bibljotekę myśliwską i prenumeruje „Łowca", jak również i „Łowca Polskiego". Należy do T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich.

Towarzystwo Łowieckie Pracowników P. K. P. w Wilnie ma 25 członków, zaś dzierżawi terenów 13.000 ha. Należy do T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich i prenumeruje „Łowca Polskiego". Przed kilku laty przejawiało bardzo ożywioną działalność, w ubiegłym jednak roku panoszący się coraz śmielej kryzys daje mu się dotkliwie we znaki.

Sportowe Towarzystwo Łowieckie jest organizacją stosunkowo młodą, lecz dzięki sprężystemu i energicznemu Zarządowi zyskuje uznanie wileńskich sfer myśliwskich. Liczy członków 21, a terenów posiada zaledwie 2.300 ha. Należy do P. Z. S. Ł. i prenumeruje „Łowca Polskiego".

Poza wymienionemi 6 towarzystwami, istnieje jeszcze w Wilnie Kółko Łowieckie Pracowników Dyrekcji Lasów Państwowych, utworzone przed niespełna dwoma laty. Bliższych danych o tem Kółku nie posiadam, gdyż na okólnik mój nie odpowiedziało. Kółko należy do T-wa Łowieckiego Ziem Wschodnich i prenumeruje „Łowca Polskiego".

Istnieje także w Wilnie Klub Myśliwski, położony przy ul. Mickiewicza Nr 11, gdzie wieczorami zbiera się elita tutejszego łowiectwa.

Prace delegata rozpocząłem z chwilą otrzymania legitymacji i zalegalizowania jej w starostwie w dniu 24 października 1934 r. Wileński starosta grodzki, p. Tadeusz Wielowieyski, aczkolwiek nie myśliwy, odnosi się bardzo przychylnie do spraw łowieckich i w każdym wypadku udzielał mi jak najdalej idącej pomocy, za co składam Mu na tem miejscu serdeczne podziękowanie. Dzięki Jego uprzejmości, otrzymałem wykaz posiadaczy kart łowieckich, którego odpis w parę miesięcy później, na żądanie Komisji Propagandowej P. Z. S. Ł., wysłałem pod jej adresem.

Pragnąc nawiązać bliższy kontakt z tutejszemi towarzystwami łowieckiemi, rozesłałem do nich okólnik z prośbą o podanie danych, dotyczących składu zarządów, ilości członków, ilości dzierżawionych terenów i t. p. Na okólnik odpowiedziało 6 towarzystw, a tylko jedno dotąd nie udzieliło mi odpowiedzi.

Otrzymane z Sekcji Ochrony Łosia plakaty propagandowe rozesłałem do szeregu urzędów wileńskich (województwo, starostwo, dyr. lasów państw.) w celu wywieszenia ich w widocznych miejscach. Przy sposobności chcę zaznaczyć że Wil. dyr. lasów państw. wydała własny plakat z obwieszczeniem o ochronie łosia (sam tekst), który został rozesłany do wszystkich nadleśnictw.

Uważając potrzebę szerzenia propagandy prawidłowego łowiectwa za jedno z naczelnych zadań delegata P. Z. S. Ł., pełniącego swe funkcje w dwustotysięcznem mieście, — zamieszczałem odpowiednie artykuły na łamach pisma codziennego („Kurjer Wileński"), jak również drukowałem krótkie wzmianki o terminach ochronnych, obowiązujących w danym miesiącu. Ponadto zredagowałem i wygłosiłem przed mikrofonem radjostacji wileńskiej 9 „chwilek łowieckich" o charakterze wybitnie propagandowym, na ogólną ilość 16 takich chwilek, nie licząc stałej współpracy w „Trąbkach Myśliwskich".

Kilkakrotnie w ciągu zimy lustrowałem targi wileńskie, r szukując na nich takiej zwierzyny, jak cieciorki, dzikie kaczki i kuropatwy, których sprzedaż w tym czasie jest zakazana. Jednak obecności tego ptactwa na targach nie udało mi się stwierdzić, chociaż policja konfiskowała parokrotnie tę zwierzynę. Przyznać należy, że handel zwierzyną w czasie ochronnym jest dziś o wiele rzadziej w Wilnie spotykany, niż przed kilku laty, gdy cieciorki i kuropatwy sprzedawane były zupełnie jawnie przez całą zimę na straganach przekupniów i wozach włościańskich.

Ze względu na to, że cyfra wydawanych przez starostwo kart łowieckich (369) jest dość duża — w roku bież. powstrzymałem się od ich opinjowania, gdyż o ogromnej większości myśliwych nie mam żadnych informacyj. Ograniczam się tylko do udzielania starostwu swych uwag, o ile mogę komuś zrobić stwierdzony i konkretny zarzut. Uważam, że sposób ten może dać lepsze wyniki, niż akceptowanie wniosków, dotyczących zupełnie mi nieznanych osób.

Prowadziłem także energiczną propagandę „Łowca Polskiego", rozumiejąc, że tylko duża ilość prenumeratorów zapewni pismu niezależność finansową i wpłynie na ogólne podniesienie się poziomu literackiego naszego organu związkowego. W tym celu rozesłałem 15 listów do wybitniejszych myśliwych, załączając do każdego z tych wezwań egzemplarz „Łowca Polskiego", które nadesłała mi łaskawie redakcja, a oprócz tego ustnie zachęcałem znajomych nemrodów przy każdej sposobności. Akcja moja, zdaje się, nie przeszła bez echa, gdyż, o ile wiem — kilka osób zaprenumerowało „Łowca Polskiego".

Kończąc, pragnę zaznaczyć, że łowiectwo w Wilnie w ciągu kilku ostatnich lat staje na coraz wyższym poziomie, zarówno kulturalnym, jak i organizacyjnym, a przy życzliwej opiece obecnego p. starosty — osiągnąć może poziom całkowicie wystarczający.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI
Delegat P. Z. S. Ł. na miasto Wilno.

Z POWIATU ŁOMŻA.

Ogólna powierzchnia powiatu łomżyńskiego (woj. białostockie) wynosi 147.331 ha, w czem terenów zarejestrowanych 91.586 ha.

Powiat łomżyński powoli, ale stopniowo, podnosi się pod względem ilości zwierzyny, zwłaszcza kuropatw i zajęcy. Ilość tych pierwszych po zeszłej zimie znacznie się powiększyła. W bieżącym roku daje się zauważyć dużo kuropatw, chodzących do obecnej chwili*) parami, co dzieje się przypuszczalnie skutkiem zalania gniazd przez silne ulewy, a nawet zasypania majowym śniegiem. Choć więc kuropatw było na zimę wyjątkowo dużo i dobrze przezimowały, liczymy się poważnie ze znacznie zmniejszonym przyrostem młodych w bieżącym sezonie, co poprawić może tylko spodziewane opóźnienie żniw.

Zające przezimowały dobrze, pierwsze jednak mioty skutkiem silnych mrozów na początku marca mocno ucierpiały. Ogólnie spotyka się ich więcej, niż w roku ubiegłym, na co wpłynęło przedewszystkiem wybijanie masowe psów po wsiach, zagrożonych wścieklizną. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, jak potrzeba nam wreszcie ustawowego ograniczenia swobody wiejskich kundli, pozostających przeważnie bez żadnego dozoru i opieki.

Stan sarn w porównaniu do lat ubiegłych poprawia się znacznie.

Dla odświeżenia krwi sprowadzono staraniem miejscowego Oddziału Wojewódzkiej Rady Łowieckiej 30 zajęcy (stosunek 1:2), które rozdzielono pomiędzy trzy tutejsze kółka myśliwskie i puszczono na specjalnie ochraniane tereny tych kółek.

Dwa majątki prywatne sprowadziły po trzydzieści sztuk bażantów, a do tej pory były one w naszym powiecie tylko na je-

*) 13 czerwca. *(Przyp. red.)*.

dnym prywatnym terenie łowieckim, dokąd sprowadzone zostały przed kilku laty.

Ochrona zwierzyny robi stale postępy, wydawanie kart łowieckich jest przez miejscowe starostwo całkowicie uzgodnione z zarządem tutejszego Oddziału Wojewódzkiej Rady Łowieckiej. Może jedynie kary administracyjne były w roku ubiegłym zbyt łagodne, ale mamy nadzieję dojść i w tej sprawie z władzami do porozumienia.

Dużym brakiem w tępieniu kłusownictwa jest utrudniona kontrola handlu zwierzyną. Wszelkie wysiłki w kierunku poprawienia sytuacji na tym odcinku utykają na zasadniczym braku podstaw prawnych i tylko usilne starania Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich u władz centralnych mogłyby dać pożądane rezultaty.

Kart łowieckich wydano w roku 1934 w powiecie 143 sztuki.

Przestępstw o wykroczenia przeciw ustawie łowieckiej tutejsze starostwo rozpatrzyło 142. Umorzono z tego 13 spraw, wyroki uniewinniające zapadły w 33 sprawach, zasądzono 96.

Kary przedstawiają się, jak następuje: areszt bezwzględny 1-no dniowy w jednej sprawie, grzywna, z zamianą na areszt: 10 zł. — 2 spr. 15 zł.—1 spr., 20 zł.—3 spr., 25 zł.—10 spraw, 30 i 40 zł. po 1 spr., 50 zł. — 16 spr., 75 zł. — 2 spr., 100 zł. — 41 spr., 150 zł. — 6 spr., 200 zł. — 10 spr. i po 500 zł. w dwóch sprawach.

Broni skonfiskowano 50 sztuk.

Wyniki polowań za rok ubiegły udało się nam zebrać jedynie z 6 gmin, stanowiących około 1/3 powierzchni całego powiatu. Przedstawiają się one, jak następuje: zwierzyny łownej zabito 4545 sztuk, w tem 7 kozłów, 667 zajęcy, 3659 kuropatw, 177 kaczek, 1 bażanta i 34 różne. Szkodników zaś — 589 sztuk, w czem 95 kotów, 264 psy, 23 lisy i 207 różnych.

KONSTANTY KOMIEROWSKI
KAZIMIERZ KULCZYŃSKI
Delegaci P. Z. S. Ł. na powiat Łomża

Z POWIATU MŁAWA

Powiat mławski (województwo warszawskie) graniczy od północy z powiatem działdowskim i Prusami Wschodniemi, od wschodu — z powiatami przasnyskim i ciechanowskim, od południa i zachodu — z powiatem sierpeckim.

Gleba jest naogół uboga i rzadko są rozsiane folwarki. Lasów większych mało, zato często spotyka się kępy zarośli sosnowych z brzeziną i olszowych, przytem ogromne szmaty mokrych pastwisk. Wszystko to powoduje bardzo słaby stan zwierzyny.

Niska kultura ziemi nie daje pożywienia, a zarośla sprzyjają wnykarstwu i kłusownictwu, gdyż dają dobre schronienie przy zasadzce, a w razie ścigania ogromnie ułatwiają ucieczkę. Toteż kłusownictwo i wnykarstwo szerzy się w zastraszający sposób. Zmniejszone posterunki policyjne zawalone są inną pracą tak, że na ochronę zwierzyny nie mają już czasu.

Starostwo za kłusownictwo nakłada bardzo duże kary, bo do 300 złotych, lecz w większości wypadków nieściągalne. Zamiana grzywien na areszt jest utrudniona z braku miejsca. Słowem położenie bez wyjścia, które doprowadzi do zupełnego wyniszczenia zwierzyny*).

Zajęcy jest też naogół coraz mniej. W tegorocznym sezonie najwięcej ubito (około 100 sztuk) w majątku Wyszyny, a na terenie Kółka Myśliwskiego w Mostowie w 2 dniach około 150 sztuk. Pozatem na polowaniach ubijano zaledwie po kilkanaście zajęcy (tereny chłopskie).

Stan kuropatw, dzięki małośnieżnym zimom, jest dobry.

Sarny są jedynie w lasach Mostowo w ilości około 20 sztuk.

Trafiają się tam i dziki. W lesie miejskim oraz w moim majątku Radzimowice na niewielkiej przestrzeni leśnej (220 mórg) jest około 20 dzików, strzeżonych stale, ku niezadowoleniu potajemnych myśliwych.

Na terenie powiatu są 33 zarejestrowane obwody łowieckie.

Kart łowieckich wydano w roku bieżącym 195 (roku zeszłego 212).

WIKTOR BAGIEŃSKI
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Mława

*) Należy przestudjować doskonale doprowadzone do porządku stosunki łowieckie w pow. Płońsk. *(Przyp. red.)*

Z Działalności Międzynarodowej Rady Łowieckiej.

Komisja stała do spraw przelotnych ptaków łownych Międzynarodowej Rady Łowieckiej, zebrana w Brukseli w dniach 11 i 12 czerwca 1935 r. —

1. Z zadowoleniem stwierdza pomyślne wyniki, osiągnięte od czasu swej ostatniej sesji pod względem realizacji wniosków, wyrażonych przez Radę, a dotyczących uregulowania odstrzału przepiórek.

2. Nalega w dalszym ciągu na potrzebę wprowadzenia bezwarunkowego zakazu polowania na wszelkie ptactwo łowne w okresie rozmnoży i zdobywania go innemi, niż strzelba, narzędziami.

3. Postanawia jednak skierować wyrazy podziękowania pod adresem rządów, które narazie — przed wprowadzeniem w niedługim czasie absolutnego zakazu — uwzględniając wnioski Komisji, zastosowały ważne środki ograniczające w tym przedmiocie.

4. Postanawia zwrócić uwagę Belgji i Francji na szczególną niewłaściwość łapania kwiczołów w sidła, zastawiane na ziemi.

5. Poddaje Radzie myśl uzupełnienia wniosków, wyrażonych dawniej, zalecając:

a) ochronę ptaków nietylko od mazutu i oliw, wyrzucanych przez okręty, lecz także od spuszczania do wód bieżących odpadków mazutu i tłuszczów, używanych w przemyśle nadbrzeżnym;

b) stworzenie rezerwatów dla ptaków przelotnych;

c) uporządkowanie prawa polowania z motorówek.

6. Winszuje sobie poparcia bez zastrzeżeń wniosków i programu Międz. Rady Łow. przez przedstawicieli najbardziej powołanych instytucyj do ochrony naturalnych ostoi i opieki nad ptakami.

7. Wyraża przekonanie, że takie zrozumienie sprawy, przyniesie jak najlepsze wyniki dla postępu wiedzy przyrodniczej i łowieckiej.

8. Co się tyczy ewentualnej zmiany uchwały 1902 r. w sprawie ochrony ptaków, gotowa jest, dla przeprowadzenia studjów w tym przedmiocie, wejść w porozumienie z instytucjami, które kwestja ta interesuje specjalnie, a w szczególności z przedstawicielami rolnictwa.

Wl. Z.

Z Bractwa Strzelców Kurkowych.

Na walnem zgromadzeniu Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie wybrany został zarząd Bractwa, w którego skład wchodzą:

prezes — gen. Jan Wroczyński,
wiceprezesi — inż. Stefan Ambroziewicz i Czesław Lisowski,
sekretarz — Władysław Wagner,
skarbnik — Tadeusz Koszutski,
gospodarz — Stanisław Knopff,
strzelmistrz — Edward Kłosowski.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

„WILD UND HUND".

Nr. 15/1935, str. 245. D. Ehlert *„Drop"*. — Autor polemizuje z opinją ustaloną przez Brehma i Naumanna co do monogamji dropi i, powołując się na własne obserwacje oraz zdanie licznych myśliwych, twierdzi zdecydowanie, że dropie żyją w poligamji. Przechodząc do sposobów polowania na dropie w Niemczech, wypowiada przekonanie, że zazwyczaj praktykowane okrążanie dropi konno lub wozem, jak również podkradanie się do dropi pasących się, najczęściej zawodzą. Najlepsze wyniki dawało zapadanie za przykryciem na szlaku przelotów dropi, naciskanie ich następnie bądź przez konnego, bądź przez woźnicę lub pastucha, zapędzającego owce i strzelanie w lot. Jednemu z myśliwych pod Berlinem udało się zresztą wpaść konno w galopie na dwa walczące koguty i zabić oba harapem. Waga dropi-kogutów nie przekracza w Niemczech 12½ — 14½ kg., a na Pomorzu niemieckiem osiąga zaledwie 11½ kg. maksymalnie. Wobec zmniejszania się ilości dropi w Niemczech,*) autor wypowiada się przeciw strzelaniu kogutów w porze godowej.

„OSTERREICHS WEIDWERK".

Nr. 7/1935, str. 111. E. Weitenau *„Dropie"*. — Biorąc asumpt z dużego zainteresowania, jakie na tegorocznej wystawie łowieckiej w Wiedniu ujawnili zwiedzający w stosunku do dropi, autor przytacza pewne szczegóły z życia tych wielkich kurowatych na obszarach Austrji. Zwierzyną osiadłą są dropie tylko w pewnych miejscowościach Burgenlandu, pozatem zjawiają się one w Austrji dopiero w połowie lutego, po spędzeniu zimy na Węgrzech i w Wołoszczyźnie. Zaraz też rozpoczynają się toki, które, osiągając największe natężenie w marcu i kwietniu trwają aż do połowy maja. Z tego też względu autor uważa za niesłuszne dozwolenie odstrzału kogutów już od połowy kwietnia, gdyż większość kur jeszcze nie jest pokryta. Polowanie na dropie-koguty odbywa się bądź z podjazdu, bądź z ukrycia na szlakach przelotu. W Burgenlandzie dozwolony jest wyłącznie strzał kulą. Odróżnienie koguta od kury jest łatwe, gdyż w okresie tokowania nastroszenie piór nadaje kogutowi barwę białą. Najbardziej ożywiony tok bywa w ciągu dwóch godzin po wschodzie słońca, ale nastrój tokowy trwa w ciągu całego dnia. Kura składa zazwyczaj 2 jaja (o wymiarze od 60 × 80 mm.) w małem zagłębieniu gruntu, bez budowy gniazda, i wysiaduje je w ciągu 4 tygodni. Wielkość ptaka oraz jego siła i odwaga sprawiają, że groźnym dla niego wrogiem jest tylko człowiek i orzeł skalny. Znane są wyjątkowe jedynie wypadki napaści lisa na wysiadującego dropia. Obserwacje autora wskazują, że drop jest ptakiem poligamicznym, podobnie jak głuszec i cietrzew.

Nr. 10/1935, str. 161. E. Neubacher *„Z życia naszych dropi"*.— Uzupełniając wyżej streszczony artykuł, autor dzieli się wrażeniami z obserwacyj nad dropiami w Marchfeld, resztkach stepu w granicach Austrji. W r. b. przybyły dropie z leży zimowych dn. 25 lutego i zaraz rozpoczęły toki. Zastanawiającem jest, z jaką ścisłością powracają dropie na miejsca lęgowe nietylko co do miejsca, ale i co do ugrupowań liczebnych. Stada o tej samej ilości osobników wróciły na swoje dawne leża i autor stwierdził z zadowoleniem obecność znanych z lat poprzednich grup kogutów w liczbie 2, 7 i 12, grup tak dalece stałych, że gdy autor odstrzelił jednego koguta, to zaraz przyłączył się do tej grupy nowy kogut. Koguty stare trzymały się osobno od kur i jedynie młode łączyły się w stada mieszane. Autor potwierdza teżę o poligamji dropi i zaznacza, że inicjatywę w akcie parzenia się ujawniają kury, którym białe upierzenie tokujących kogutów służy za przynętę przy przelocie. Po skończonych tokach rozdział płci ustaje i najczęściej widzi się stada mięszane. Kogut tokujący zmienia tak dalece swój wygląd, że trudno w nim domyśleć się ptaka widzianego o czasie zwykłym: wychyla on szyję w tył, kładąc na kark z podjętym w górę dziobem, opuszcza w półkola skrzydła i nastrasza wszystkie pióra w sposób, czyniący z pstrego, czarno - żółto - białego ptaka jedną białą kulę, przesuwającą się w rozmaitych kierunkach bez wydawania głosu. Dopiero w locie drop wydaje odgłos, zbliżony do dźwięku „nrrchch, nrrchch!", który się słyszy wyraźnie na odległość 300 kroków. Waga koguta wyrosłego waha się od 9 do 18 kg., szerokość rozpiętych skrzydeł sięga 2.3 m., długość brody, sterczącej z obu stron, dochodzi do 20 cm. J. G.

*) Patrz „Łowiec Polski" Nr. 12/1935 str. 236.

DOBRE I ZŁE.

Ostatni, z dnia 15 czerwca b. r. Nr. 15 „Łowca", wychodzącego we Lwowie, przynosi szereg wybitnych artykułów, stwarzając tem samem bardzo interesującą całość.

Wśród prac tam zamieszczonych, dwa tematy zasługują na szczególną uwagę myśliwych i hodowców. Pierwszym jest ważne zagadnienie, opracowane przez gen. inż. Walerego Maryańskiego p. t. „Łowiectwo, a „małokalibrówka".

Autor rozważa to zagadnienie z punktu widzenia hodowli i walki z kłusownictwem, utrzymując, że niezwykle szybko postępująca popularyzacja sztucerków małokalibrowych, jako broni o dużej precyzji, o znacznej nośności i przy stosunkowo bardzo niskiej cenie amunicji, grozi masowem przejściem kłusowników od broni śrutowej na „małokalibrową" kulową, co już w praktyce zostaje tu i owdzie stwierdzone.

Najważniejszym argumentem tej wysoce szkodliwej przemiany systemu kłusownictwa, przemawiającym za jego spopularyzowaniem wśród licznych przestępców w dziedzinie amatorów na cudzą zwierzynę, jest, obok taniości samej broni i amunicji do niej, minimalny huk strzału, zdala niedosłyszalny przez patrolujących leśne obszary gajowych, lub strażników łowieckich, a więc zapewniający kłusownikowi maksimum bezkarności.

Pozatem kilka systemów małokalibrowej broni, jak „sztucerek japoński", „mauzer", browning" są niezwykle łatwo, a więc i szybko rozkładalne na dwie zasadnicze części (kolbę i lufę), co ułatwia również momentalne ich ukrycie pod odzieżą zapomocą łączącego te części sznurka dla przewieszenia przez szyję.

Wprawdzie — jak zaznacza autor — dużą wadą tej broni jest przeznaczenie jej do celów sportowych, a nie myśliwskich, wobec czego amunicja nie posiada potrzebnej do zabicia na miejscu siły, a przeto wszelkie naboje „long", „long-rifle", „short", najczęściej żywią zwierzynę, która nawet dobrze trafiona, uchodzi nieraz i kilkaset kroków, obecnie jednak i ta przeszkoda została usunięta wskutek fabrykowania specjalnie na toki głuszcowe i cietrzewie nabojów „long-rifle" z kulą o końcu ściętym i dziurką wewnątrz, co wywołuje efekt deformacji pocisku w ciele zwierzęcia. Od takich kul nie ujdą już daleko sarny ani zające.

Bardzo silna „demokratyzacja" sportu strzeleckiego z broni małokalibrowej, przenikającego dziś do najszerszych warstw, z racji kandydowania o strzelecką odznakę P. O. S., może bardzo wkrótce zamienić tę broń w niezwykle rozpowszechnione narzędzie cichego, a systematycznego niszczenia najpiękniejszych zwierzostanów przez zwiększające się szeregi kłusownicze.

Sz. Autor podnosi także, że nietylko broń taka stanie się skrytobójczą dla hodowanej z mozołem i nakładem kosztów zwierzyny, lecz w rękach tegoż kłusownika-bandyty może posłużyć bardzo, jako ułatwienie bezkarności skrytobójstwa z zasadzki w odniesieniu do wszystkich, stojących na straży całości i liczebności zwierzostanów, z którymi procederzyści-rabusie będą mieli niezałatwione porachunki.

Obawa gen. Maryańskiego jest uzasadniona i posiada dużo przewidującego prawdopodobieństwa, toteż, sądzę, że już dziś należałoby się nad Jego przestrogami zastanowić i przedewszystkiem owarować możliwie najmocniej prawo nabywania samej broni małokalibrowej niebezpieczniejszych dla zwierzyny systemów, jak również pocisków ekspansywnych o ściętym końcu, lub podobnych, jakie mogłyby w przyszłości być wytwarzane. Coprawda istnieje możliwość domowego „poprawienia" zwykłych nabojów...

I dlatego końcowe wnioski Sz. Autora — wobec niemożliwości wycofania z obiegu i sprzedaży broni małokalibrowej i amunicji do niej (ze względu na przysposobienie wojskowe), a więc niemożliwości całkowitego zapobieżenia niebezpieczeństwu, jakie przedstawiają — idą po linji konieczności wyposażenia funkcjonarjuszy policji państwowej i straży łowieckiej w specjalne prawa rozszerzające ich możność samoobrony w stosunku do kłusowników-zbrodniarzy, a także po linji wprowadzenia znacznie dotkliwszych kar na kłusowników i bandytów. To ostatnie zdaje się być środkiem najbardziej racjonalnym i skutecznym, o co domaga się zresztą całe społeczeństwo łowieckie oddawna.

Mało kto z myśliwych zna życie wydry, jej liczebność i wielkość czynionych szkód, a dzieje się tak dlatego, że powszechnie znane polowanie na wydry zimą z zasadzki wymaga nietylko wielkiej wytrwałości i ponoszenia ogromnych trudów, lecz przedewszystkiem żelaznego zdrowia.

Pan Jan Ringel opowiada nam w tymże Nr. 8 „Łowca" jak doszedł do tego, że zdobył dokładną znajomość życia i zwyczajów wydry, co dało mu możność zabicia (w ciągu 54 lat) 219 sztuk! Wielka to liczba, lecz rozdzielona na tak olbrzymi okres czasu daje przeciętnie zaledwie 4 sztuki rocznie.

Pan Ringel doszedł do tak licznego pokotu wyder, polując wczesną wiosną i latem — zawsze z łódki — w pierwszym wypadku, wypatrując wśród nieodrosłych jeszcze szuwarów legowisk wygrzewających się na słońcu zwierząt, w drugim — przy spokojnej wodzie, gdy o świcie wśród oczeretów wydra płynie, żerując.

WUZET.

ROZMAITOŚCI.

PRZYCZYNY PADANIA ZAJĘCY.

Borysławsko-Drohobyckie Towarzystwo Myśliwskie „Orzeł" w Borysławiu, nadesłało nam rozpoznanie przyczyny śmierci wydane przez Zakład Anatomji Patologicznej Akademji Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie (ul. Kochanowskiego 59), po przeprowadzeniu badań nad padłemi w lutym b. r. podczas silnych zawiei śnieżnych młodemi zającami.

Rozpoznanie sekcyjne, histopatologiczne, bakterjologiczne:

„Przysłany zając nadszedł w stanie daleko posuniętego gnicia. Sekcyjnie stwierdzono: drobne ogniskowe przekrwienia w zakresie wszystkich płatów obu płuc, nadto w powiększonej wątrobie obecność dość licznych opornych guzków, od wielkości ziarn prosa do ziarn grochu. Największe wypełniają masy z wejrzenia serowate.

Badanie histologiczne skrawków z płuc stwierdziło katar (nieżyt surowiczo-śluzowy) oskrzeli i oskrzelików rozsiany, nadto rozrzucone ogniska przewlekłych zmian zapalnych pęcherzyków i między pęcherzykami, sprawionych przez obecność jaj, larw i dorosłych osobników z gatunku nicieni.

W skrawkach z wątroby zauważono liczne uszkodzenia zrazików wątrobowych świeższej i starszej daty, odpowiadające obrazowi kanałów, wierconych przez larwy motylicy wątrobowej, stare ropnie otoczone silnym łącznotkankowym wałem, oraz ogólny rozrost tkanki łącznej międzyzrazikowej z pomnożeniem jej przewodzików żółciowych.

Całość obrazu wątroby sprawia wrażenie marskości zanikowej, typowej dla skutków znaczniejszej inwazji motylicy.

W przewodzie pokarmowym z powodu gnicia zmian chorobowych nie można było stwierdzić.

Badanie bakterjoskopowe i hodowlane (Zakład Mikrobiologji Akad. Med. Wet.) wycinków płuc i wątroby nie wykryło żadnych drobnoustrojów chorobotwórczych. **Śmierć** sprawiło łączne działanie pasorzytów płuc i wątroby.

Prof. Dr A. ZAKRZEWSKI."

SŁONKI NA PODKARPACIU.

W ostatnich dniach, chodząc na rogacza, zauważyłem dużo ciągnących słonek, zarówno rano, jak i wieczorem. Wogóle na podkarpaciu słonki zaaklimatyzowały się i są już od paru lat ptakami lęgowemi. W lesie Lubcza Szczepanowska, nad Dunajcem, koło Tarnowa, znaleziono kilka gniazd słonek.

Czerwcowe ciągi są tu bardzo silne. Na jednem stanowisku widzieć można przez wieczór kilkanaście sztuk. Ciągną bardzo wysoko, nietylko tam, gdzie odbywały się ciągi wiosenne, ale nad całym lasem, tak samo nad wysokim, jak i niskim.

Zauważyłem słonki duże (Entenköpfe) i mniejsze.

Dzielę się tą wiadomością z czytelnikami „Łowca Pol." i mam nadzieję, że z innych stron zainteresowani myśliwi też zaanonsują lęgowe słonki.

ZYGMUNT JORDAN.

LĘGI GŁUSZCÓW I CIETRZEWI.

W powiecie dziśnieńskim (woj. wileńskie) zanotowano bardzo wczesne, pomyślne wylęgi głuszców. 1 czerwca spotkano już młode pisklęta przy kurze.

To samo dotyczy cietrzewi: 28 maja zanotowano wylęgi szeregu gniazd.

WYBRYK NATURY.

(—zet—) Kapitan Mieczysław Ustinowicz ubił w styczniu b. r. na polowaniu z podjazdu dziwny okaz cieciorki, która posiadała całkowite upierzenie samicy, jedynie pióra ogona wyrośnięte są w kształt liry koguta.

Okaz ten został zdobyty w okolicy Rokitna wołyńskiego.

Podobny okaz posiada w swych zbiorach p. inż. H. Knothe Jest to, jak wiadomo, patologicznym objawem zestarzenia się. Skazane wskutek wieku na dożywotnią bezpłodność kury różnych gatunków upodobniają się niektóremi cechami zewnętrznemi do samców.

Okaz, ubity przez kpt. Ustinowicza, reprodukujemy na str. 368.

KŁUSOWNICTWO.

(—zet—) Kierownik placówki Straży Granicznej w Kiełpinie pow. chojnickiego, Rogala, idąc na kontrolę służby, znalazł w zagajniku zwłoki zabitego starszego strażnika granicznego Tokarskiego. Mordercy nie pozostawili po sobie żadnych śladów, wykrycie ich przeto przedstawiało duże trudności.

Pomimo tego jednak dochodzenia, prowadzone przez Wydział Śledczy, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem, po dłuższych bowiem poszukiwaniach wykryto i aresztowano morderców, których jest pięciu, wszyscy przeważnie ludzie młodzi i trudniący się zawodowo kłusownictwem.

Śledztwo wykazało, że krytycznego dnia ś. p. Tokarski stał na czatach w zagajniku, odległym od granicy o jakieś 300 metrów. Opodal niego kłusownicy, uzbrojeni w broń myśliwską, polowali na zwierzynę. Jeden z nich natknął się na ś. p. Tokarskiego, który wystrzelił na postrach. Wówczas nadbiegli inni kłusownicy i oddali do strażnika kilka strzałów, z których jeden, ugodziwszy w serce, położył go na miejscu trupem. Kłusownicy zbiegli, nie będąc przez nikogo widzianymi, ś. p. Tokarskiego zaś zabili, aby pozbyć się świadka.

Nazwiska morderców i dalsze szczegóły trzymane są w tajemnicy do czasu ukończenia śledztwa.

Zabójstwo to wywołało ogólne oburzenie, tembardziej, że niedawno zamordowany został ś. p. Lipiński z Brus.

*

(—zet—) Strażnik łowiecki, Teodor Demaj, obchodząc swój rewir w lesie Muszyna, zauważył ślady kłusownika, postanowił go przeto ująć i poszedł wślad za nim. Zaledwie uszedł parę kroków, gdy ktoś z zasadzki wystrzelił do niego kilkakrotnie, raniąc go w nogę. Strażnik upadł na ziemię i wkrótce potem zobaczył uciekającego znanego kłusownika, Józefa Kanię z bronią w ręku.

Na mocy powyższego policja aresztowała Kanię, który jednak nie przyznał się do zarzucanej mu zbrodni, choć stwierdzono, że pozostawione w lesie ślady, pochodzą z jego stóp.

Sąd Okręgowy w Nowym Sączu na sesji wyjazdowej w Muszynie skazał Kanię na 6 miesięcy więzienia.

*

(—zet—) W pierwszej połowie czerwca r. b. starszy gajowy w nadleśnictwie Muszyna, Jan Dziubiński, podczas pełnienia swej służby został zabity.

Przeprowadzone śledztwo wykazało, że Dziubiński zatrzymał w lesie kilku osobników, których chciał wylegitymować. Jak się okazało, byli to bandyci, którzy, po ograbieniu karczmarza, uciekali przez las. Zatrzymani bandyci oddali do Dziubińskiego kilka strzałów, zabijając go na miejscu.

Pogrzeb gajowego, który zginął, pełniąc służbę, odbył się na koszt państwa. W pogrzebie wzięli udział przedstawiciele władz, pracownicy administracji lasów państwowych oraz reprezentanci organizacyj społecznych.

OD ADMINISTRACJI

Przy przesyłaniu gotówki przez P. K. O., lub przekazami pocztowemi, uprasza się o wyszczególnianie, na jaki cel przeznaczona jest wysyłana gotówka (prenumerata, ogłoszenia, składki i t. p.)

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowy w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł.
W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8087

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15